Nr. 23. Lwów, 4. marca 1900. **Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIV.**

Numer pojedyńczy **40 hal.** z dodatkami.

Tygodnik Narodowy

ILLUSTROWANY,

wychodzi na każdą niedzielę.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *16 kor.*, półrocznie *8 kor.*, kwartalnie *4 kor.*, miesięcznie *1 kor. 40 hal.*, W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *16 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie.* Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniczne. — Prenumeratorowie ***roczni*** otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako *premium* nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

*Redakcja i Administracja **Tygodnika Narodowego** we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Tygodnik Narodowy znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.



S. p. Józef Supiński,

najznakomitszy polski ekonomista,

urodził się 21. listopada 1804 r. we wsi Romanów pod Lwowem. Przebył szkoły i uniwersytet w Warszawie. W grudniu 1830 r. zamianowany został sekretarzem dyktatora Chłopickiego. Po rozwiązaniu dyktatury wszedł do artylerji. Po wzięciu Warszawy, Supiński, jako oficer z korpusem Rybińskiego przeszedł granicę pruską, skąd wraz z wielu innymi udał się do Francji. Tam wyuczył się buchhalterji podwójnej. Powrócił do kraju w roku 1844 i pracował w galicyjskiej Kasie Oszczędności we Lwowie. Ślęcząc nad naukami po nocach, utracił wzrok, skutkiem czego po 20-letniej służbie został spensjonowany za skromną płacą 600 zł., które stanowiły jego utrzymanie.

Dzieła Supińskiego wydane po raz pierwszy w roku 1860 wpłynęły potężnie, jak to w ogóle przyznano, na zmianę pojęć i ruchów społeczeństwa polskiego, które już w roku 1873 dało dowód swej głębokiej wdzięczności, gdyż urządziło 50 letni jubileusz jego prac naukowych. Mnóstwo telegramów, stopnie akademickie, deputacje liczne, honorowe obywatelstwa i albumy mieszczące po 300 podpisów, między tymi od mnóstwa znakomitości ze wszystkich części Polski, były dowodem ogólnego uznania. Napisał ważne dzieło: »Myśl ogólną fizjologji powszechnej«. Najwięcej rozgłosu zjednał imieniu swemu dziełem: »Szkoła polska gospodarstwa społecznego«.

Ze spraw ruskich.

„W politycznem życiu jesteśmy doprowadzeni do zera, z nami nikt nie liczy się, myśmy bezsilni wewnątrz brakiem jasnej świadomości naszych narodowych celów, naszych żądań, brakiem solidarności“. Słowa te czytamy w odezwie, wydanej przez nowo utworzone stronnictwo ruskie "demokratyczno-narodowe“, a kto tylko, chociażby pobieżnie śledzi za torami polityki ruskiej, ten przyzna im słuszność zupełną.

Nie od dziś wiemy wszyscy, że u rusinów taktyka, co więcej, zasady polityczne zmieniają się bezustannie, przechodząc w coraz nowe fazy i ewolucje. Ongiś przed r. 1848, prócz chłopa i popa, nie było rusinów i to księża, jedyni przedstawiciele inteligencji, wstydzili się mówić po rusku, następnie przyszły czasy świętojurszczyzny. Bogu ducha winnych rusinów nazwano tyrolczykami wschodu, następnie po ochrjadowszczyznie zaczęły się pierwsze umizgi do rubla, ztąd powstał podział na moskalofilów i ukraińców, a równocześnie zaczęła się dziesiątki lat trwająca walka o azbukę. Proces Naumowicza zaostrzył sytuację, różnica między starą, a młodą partją wzmaga się coraz bardziej. Powstają radykali pod wodzą Franki i Pawlika, a duchowem kierownictwem Dragumanowa, a ci przechodzą rozmaite fazy rozwoju swych przekonań, dzielą się, łączą, by znów się rozdzielić.

W r. 1889 Romańczuk zainaugurował politykę ugodową, zwaną nową erą. Był to znów moment przełomu; moskalofile wyszli na tem najlepiej, bo wzmocnili swe szeregi tymi z ukraińców, którzy postanowili wytrwać na stanowisku nieprzejednanych. Radykali zaczęli szaloną agitację przeciw ugodom z polakami i sejmem. Romańczuk pierwszy łamie taktykę polityki ugodowej i staje w rzędzie największych opozycjonistów, w końcu łączy swój aljaż z moskalofilami i tak powstaje konsolidacja narodowców z pseudokonserwatystami, zbratanie się ideałów separatyzmu narodowego z ideałem kultu cara i rubla. Poza tem stoją ugodowcy, liczebnie najstarsi pod wodzą Barwińskiego i Wachnianina, dalej radykali.

Ci jednak po długich debatach, rozpadają się na zdeklarowanych socjalistów z p. Jarosiewiczem na czele i idą w najmictwo Adlera, drudzy wytrwali przy Franku, a imponowało im tem więcej to, że ten odpowiada wszystkim wymogom idealnego wodza, kocha bowiemRuś „z psiego obowiązku“.

Lecz nic trwałego pod ruskiem niebem. Moskalofile zdobyli sobie przez konsolidację przewagę nad interesami rusinów, sojusznicy separatyści z opuszczonemi uszyma musieli słuchać hymnu na cześć matuszki i cara, a co najważniejsza, żadnych nie było widoków, by p. Romańczuk odzyskał utracony mandat. A mandat ten, to cel marzeń jego. Tak samo i rycerz „psiej miłości ojczyzny“, wzdycha od lat szeregu do mandatu. Więc w wzajemnym uścisku, znalazły się piękne dusze i oto w jesieni r. 1899 p. Romańczuk zrywa konsolidację z moskalofilami, p. Franko opuszcza partję radykalną i w zrozumieniu własnych ambitnych celów, zakładają nową partję „demokratyczno-narodową“. Dziś więc mamy między rusinami: partję moskalofilską, narodową-ugodową, klerykalną, demokratyczno-narodową, radykałów umiarkowanych, radykałów nieprzejednanych, socjalistów, dzikich, a nadto karjerowiczów, zaprzedańców i t. p.

Dziwić się zatem nie można, że rusini w zrozumieniu całego tego rozgardjaszu nazywają się zerem i zwą się „narodem politycznie niedojrzałym“. *Verus.*

Quousque tandem...

Dopókiż Panie my pod pręgierzem
Stać będziem krwawi, wrogom na śmiech,
Czyż długą nędzą żalu pacierzem
Nie zmyty jeszcze praojców grzech?

Dopókiż podłe sługi caratu
Naszej młodzieży ssać będą krew,
I deptać po nas — i wołać światu:
Oto ich Boży potępił gniew.

Nie dziw, że bólem my obłąkani,
Gdy wciąż pogrzebu słyszymy dzwon;
Nie dziw, że ręka pierś bratnią rani
I w szale własny przyśpiesza zgon.

Tak my grzeszymy, bośmy schorzali,
Bo nas daremny zabija trud,
Iskry nadziei tleją gdzieś — w dali —
Upada w nędzy zgłodniały lud.

Nie dziw, że w sercach zapał ostyga,
Że dzielnych prawic do czynu brak,
Złamanem skrzydłem, gdy więzy dźwiga
Czyż wzleci w niebo zraniony ptak.

Dopókiż Panie piorunom kary,
Co drzemią cicho pod strażą gwiazd;
Urągać będą katy i — cary,
Na zgliszczach naszych sierocych gniazd?

Dopókiż Panie czekając zorzy,
Naród nasz z bólu będzie się wił,
Zanim młot pracy trumnę otworzy
Do zmartwychwstania czyż starczy sił?

Ach! iskier życia ty strzeż młodzieży,
Próchna, zgnilizny, podeptaj pleśń,
Niech nad cmentarze, jak dzwon uderzy
Potężnych czynów spiżowa pieśń.

Anna Neumanowa.

Czarni i ich biali cywilizacyjni tępiciele.

(Przyczynek do obecnie toczącej się walki w południowej Afryce).

W walkach południowo - afrykańskich, obie wojujące strony spoglądają z pewnym przestrachem na plemiona kafrów, które dotychczas zachowują się biernie, lecz mogą prędzej, czy później zgotować groźne niespodzianki i przychylić udziałem swoim w wojnie szalę na stronę anglików, lub boerów. Samo plemię zulu - kafrów liczy niemniej, jak 60.000 wojowników, a jeżeli uwzględnimy inne, dość liczne pokolenia kafrów, jak Basuto, Kosa, Makololów i nieliczne już plemię Matabelów, możnaby liczyć z tego na armję posiłkową, o wiele przewyższającą siły obu stron walczących.

Co prawda, ci podwójnie swego czasu podbici murzyni, nie mają obowiązku wdzięczności, ani dla jednej, ani dla drugiej strony i jeżeliby na dobre liczyć, to więcej im krzywdy wyrządzili osadnicy holenderscy, niż anglicy. Warto przy tej sposobności poznać dzieje tej ziemi, o której posiadanie, nie troszcząc się o jej odwiecznych właścicieli, walczą dwa plemiona europejskie. Kiedy w r. 1486 Bartłomiej Diaz zawinął do Przylądka Dobrej Nadziei. Przylądek ten aż do granic pustyni Kalahari zamieszkiwały trzy plemiona, zupełnie się od siebie różniące: hotentoci, naród pasterski, rolnicy kafrowie i dzicy zupełnie buszmani, żyjący z myślistwa! Kafrowie nie byli tu wprawdzie autochtonami, przybyli bowiem z północy i przeszedłszy rzekę Zambezi, osiedli w najżyźniejszych okolicach. Hotentoci, jako lud słabszy, musieli ustąpić wojowniczym kafrom, a buszmani, w pierwotnem stadjum rozwoju będący, straciwszy grunt pod nogami, rozproszyli się po skałach i pustyniach, wiodąc do dziś dnia nędzne, koczownicze życie. Kafrowie tedy zostali panami najżyźniejszych okolic.

Tak stały rzeczy, gdy portugalczycy zajęli Przylądek. Zajęci handlem wszystkiego, czem się tylko handlować dało, nie mieli zmysłu państwowej organizacji Afryki, a zwrócili główne swe siły w stronę Ameryki południowej, gdzie i kraj był żyźniejszy i złota więcej, za którem najbardziej wzdychali konquistatorzy XV. stulecia.

Taki był stan rzeczy, gdy w r. 1652 wysłany przez holenderską kompanję wschodnio-indyjską Jan van Riebeck, zajął Przylądek, ufortyfikował zatokę i rozpoczął kolonizację. W pięć lat potem, dziewięciu osadników holendrów, za pozwoleniem gubernatora, poszło w głąb kraju i owych dziewięciu, do których niebawem przyłączyli się rozmaici zbiegowie różnych narodów, stanowili zawiązek osadnictwa w tej ziemi. W r. 1684 wylądowało na Przylądku 50 chłopów holenderskich, od których przyjęła się nazwa boerów. Nakoniec w trzy lata później, wskutek odwołania edyktu nantejskiego, 300 rodzin hugenockich z Francji powiększyło ludność kolonji, a przybrawszy język i zwyczaje holendrów, zlało się z nimi zupełnie.

Teraz rozpoczęła się prawdziwa klęska dla biednych hotentotów i buszmanów; polowano na nich, jak na dzikie zwierzęta, przyczem rabowano dobytek w bydle poszczególnych kraalów, a mieszkańców wycinano w pień. W takiej eksterminacyjnej gospodarce, dziesiątki tysięcy krajowców wymordowano i wyniszczono, a osadnicy holenderscy zabierali ziemię, zamieniając ludność miejscową w niewolników.

Panowanie kompanji wschodnio - indyjskiej na południowej kończynie Afryki trwało od r. 1806, kiedy to Anglja, korzystając z wojen napoleońskich w Europie, zagarnęła Przylądek w swoje posiadanie. Anglicy, rozumiejąc własny interes, wzięli w opiekę krajowców przed nadużyciami holenderskich osadników. Gubernator kolonji, lord Caledon, wydał proklamację, regulującą stosunki hotentotów do boerów, zaprowadził sądy i nie na żarty karał przekraczają-

Kronika niedzielna.

Koniec karnawału. Popielec — jego charakterystyczne cechy obyczajowe; co mówi o nim lud i podania.

Książę Karnawał, wesoły, pusty młodzieniec, skrzący się brylantami dowcipu i uciech, lśniący złotem zabawy i flirtu, zmienny jak kameleon, niestały jak motyl, a psotny jak Chochlik, zakończył już swe panowanie i chociaż w dniach ostatnich najbardziej zachwycał wszystkich blaskiem swego majestatu, musi ustąpić, a tron swój oddać, co za ironja, śledziowi. Po karnawale śledź, po wesołości smutek, po śmiechu łzy.... tak się już układa to nasze życie, przeważnie pełne trosk i bolów, zgryzot i kłopotów, wypełnione ciężką i krwawą walką o byt, a ubogie w chwile radości, zadowolenia i... nasycenia moralnego i materjalnego. Wprawdzie powiadają, że bóle zawody są na to, aby radość była tem większą, bo jaśnieć ma ona tem silniejszym blaskiem, jeżeli odbija od cienia boleści, ale ja wolałbym mniej jasny blask radości, byle tylko nie miała poza sobą cienia boleści.

Karnawał wprowadza na chwilę zapomnienie, suggestjonując niejako ludziom chęć zabawy i poczciwi ludziska bawią się, hasają, choć ich bieda gniecie, chcą, choć przez chwilę, przez jedno mgnienie oka, zapomnieć o niedoli, a oddać się wesołości. Lecz panowanie tego księcia wesołości krótkie — przychodzi popielec, obejmuje królowanie swoje śledź, nadchodzi czas rozpamiętywań i pokuty. Ojcowie i matki obliczają, ile wydali na zabawy, bez skutku, bo córki ich i dalej pozostały pannami, nie zawinęły do portu małżeńskiego, kawalerowie, łowcy posagowi, obliczają, ile to podpisało się weksli, zaniosło rzeczy do lombardu, aby wyglądać jak wzór z ostatniego żurnalu mód, a mimo to na przynętę tę nie poszła żadna posażna jedynaczka i znów trzeba się będzie cieszyć nadzieją nadziei... iż kiedyś przecież to się uda.

Sroda popielcowa jest kresem pory zapustnej i przejściem do żałoby, poprzedzającej wielką tajemnicę odkupienia dla mieszkańców stolicy i miast większych; po wsiach jest dopiero pierwszym, choć i ostatnim dniem zapust, którego lud używa swobodnie, oddając się zabawie z ochoczą skwapliwością, cechującą uciechy włościan naszych. Gdy więc w miastach kipiąca życiem zabawa cichnie, na wsi zapusty w jednodniową chwilę zamknięte, wybuchają szaloną wesołością, wrą ruchem i gasną z zachodem słońca, lub też najdalej z pierwszem pianiem koguta, tego żywego siół naszych zegara.

Lud nasz łączy z dniem popielcowym rozmaite obrzędy, rozmaite podania i zabobony. W rozmaitych okolicach naszej ziemi obrzędy te są rozmaite, długo i szeroko możnaby się o nich rozpisywać. Dziś wyrywamy jedną kartkę z wielkiej historji obrzędów naszego ludu i dajemy opis środy popielcowej w sandomierskiem.

Rok rocznie lud sandomierski bez względu na pomyślną, lub smutną dolę, oddaje się w dniu popielcowym zabawie z radością dziecka, które po długiem zatrzymaniu w izbie, zdołało się wreszcie wymknąć na świat Boży. Stary zwyczaj ujął uciechę zapustną ludu w pewne formy, nadając jej charakter jakiegoś obrzędu z czasów pogańskich. Siła tej tradycji jest tak wielka, iż wszelkie napomnienia duchowieństwa nie mogą jej wyrugować z pamięci ludu, ani nawet złagodzić i przemienić. Inaczej też być nie może i nie mogło; w pierwszych wiekach chrześcjaństwa, gdy nowa wiara u samych jej opowiadaczy przyćmiona była dawnymi zwyczajami, lud starał się łączyć dawne pogańskie zwyczaje z nowemi wymaganiami. Zmieniano więc czas obrzędów, stosownie do potrzeby i naginano je do nowych pojęć, ale zawsze pierwotna myśl pozostała i dziś widoczną jest przy obchodach ludu wiejskiego.

Już pod wieczór we wtorek, cudacko ubrani parobcy chodzą od chaty do chaty wiejskiej, wybierając jaja, kury itp. przedmioty, stanowić mające daninę dworowi. Nazajutrz, tj. we środę, wszelka praca od rana ustaje po okolicznych wioskach, a natomiast wysypuje się lud świątecznie przybrany. Ku południowi gromadki ludu kupić się zaczynają koło karczem. Wtedy rozpoczyna się uciecha, przeplatana muzyką wiejską, tańcem i niestety! nieodłączną pijatyką. Do podo-

cych prawo. Kiedy w dodatku w r. 1838 rząd angielski zniósł niewolnictwo, holendrzy widząc upadek swój materjalny z powodu braku niewolnika, wyemigrowali gromadnie, przeszli rzekę Garip, granicę kraju Przylądka i na ziemi kafrów założyli trzy republiki: Transwaal, Oranie i Natal.

Tu osadnicy zetknęli się po raz pierwszy z kaframi i zaraz poznali, że to naród całkiem inny, niż potulni hotentoci. Nie szli więc dalej, lecz ułożywszy się z czarnymi, przyjęli rzekę Gamtoos za granicę posiadłości swoich i zachowali z kaframi przyjazne stosunki. Nie trwało to jednak długo; zaczęły się bójki wzajemne i rząd angielski kolonialny, musiał stanąć w obronie kolinistów. Najkrwawsza wojna wybuchła w r. 1850, gdy kafrowie podnieśli powstanie przeciw białym, stłumione przez anglików wielkiemi ofiarami krwi i pieniędzy.

Wśród tych walk, w północnym Natalu powstało wielkie państwo kafrów, plemienia Zulu. Zajmowali oni wspólnie z rodami Umtetwa i Zwasi okolice nad Tugelą pod naczelnictwem niejakiego Senzagakona. Żona jego, uciekłszy przed nim, znalazła gościnę u naczelnika Umtetwów Dingisweja, z którym miała syna, nazwiskiem Czaka. Ten wstąpił na tron ojcowski po śmierci Senzagakona. Czaka był człowiekiem niesłychanie ambitnym, wojownikiem wielkim i świetnym organizatorem. Umiał on swych zulusów tak zorganizować wojskowo, że w krótkim czasie, oprócz Umtetwów, rozproszył plemiona Fingo, Pondo, Basuto i Tambuki i panował od zatoki Santa Lucia aż po John River. Kiedy Czakę w r. 1828 własny brat Dingan zamordował, zmieniły się nieco stosunki, a i misjonarze angielscy zaczęli zapuszczać się do kafrów.

W dziesięć lat później, przybyli w te strony pierwsi boerzy, którzy przeszli góry Kwatlamba pod wodzą Jakobusa Uys, Hendrika Potigeyter i Pietra Retief, gdzie się z anglikami, nielicznie tu około portu Durban osiadłymi, zbratali.

Emigracja stała się ogólną; inne partje boerów wkraczać poczęły dalej ku północy, tocząc walki ze sławnym wodzem Matabelów, Mozelikace. Tych Matabelów później, gdy młode republiki wzrosły w jaką taką potęgę, wyniszczono niemal do szczętu, Makololów wyparto aż do niezdrowych okolic Zambezi; Beczuanie zatrzymali się na zachodzie.

Przypatrzmy się teraz losom boerów, którzy się w Natalu osiedlili. Wysłali oni do Dinhana deputację z Retiefem na czele, aby z nim paktować o odstąpienie ziemi. Przybyli pomyślnie do stolicy Dingana Umgunkwowu i wszystko składało się szczęśliwie, ale podczas uczty, wydanej na cześć zawartych układów, na znak dany przez okrutnego kafra, rzucono się na deputację i wymordowano ją do nogi. To spowodowało nową wojnę, w której wprawdzie Dingan z wojskiem swem dotarł aż do Durbanu, ale niebawem, gdy osadnikom nadeszły posiłki, musiał się cofnąć; osadnicy oblegli stolicę Dingana i pomimo, że wódz murzyński miał 12.000 ludzi, rozbili go w puch i wzięli stolicę szturmem, przyczem padło 3.000 kafrów.

Dingan uszedł na północ, a brat jego Panda zawarł przymierze z boerami z Natalu, uderzył na Dingana, który nowe wojsko zebrał, pobił go przy pomocy osadników, a Dingan w ucieczce został zamordowany.

Ale i Pandzie nie było sądzonem ugruntowanie państwa starego Czaki. Zrobił to po części syn jego Kezwejo, którego w końcu anglicy pobili i uwięzili, a z nim wzięło koniec olbrzymie państwo zulusów.

Kiedy się w Natalu poczęli zbierać osadnicy boerscy, rząd angielski, widząc niebezpieczeństwo dla siebie, przedstawiał różne przeszkody, wobec czego boerzy z Natalu zupełnie wyemigrowali do Transwaalu.

Wojna z naczelnikiem kafrów Sikokonim przyprawiła Transwaal w r. 1879 o utratę niepodległości na rzecz anglików, ale już w trzy lata później, zmuszeni byli anglicy zostawić boerów w spokoju.

Oto w głównych zarysach niedawne stosunki na obecnym terenie wojny anglo-boerskiej. Z nich możemy osądzić, że czarni nie mają powodów kochać, ani anglików, ani boerów. Zajmują oni, jak dotąd, stanowisko wyczekujące. Ale gdyby się tak nagle pojawił wśród nich jaki nowy Czaka, lub Keczwejo i zechciał siły murzyńskie rzucić na jedną, lub drugą stronę, mianoby ciężki orzech do zgryzienia.

Echa zamiejscowe.

Z Poznania donoszą:

»Własna chwała cuchnie« — głosi przysłowie, a cuchnie tem więcej, im kłamliwszą jest podstawa, na której oparte twierdzenia. Chwalą się niemcy — że oni nam przynieśli kulturę! i głoszą to przy lada sposobności się nadarzającej. »Najserdeczniejszy nasz przyjaciel«, były prezes rejencji, p. Jagow, oraz także »serdeczny« minister, baron Rheinbaben, publicznie to dowodzili. Naturalnie, należytą odprawę dali im posłowie nasi — ale to nic nie pomoże, oni zawsze w tonie butnym będą nam głosili te »dobrodziejstwa« kultury pruskiej. Niedawno na zebraniu wydziału historycznego-literackiego Towarzystwa »Przyjaciół Nauk« przedstawił ks. lic. Miaskowski nadesłany przez p. H. Szumana z Obornik memorjał, znaleziony w papierach po stryju jego śp. Pantaleonie Szumanie, b. prokuratorze za czasów Wielkiego Księstwa Warszawskiego, a później radcy rejencyjnym i przewodniczącym komisji jeneralnej, regulującej sprawy włościańskie W. Ks. Poznańskiego. Memorjał ten nosi tytuł: »Uwagi nad upadkiem szkół i oświaty w tej części Polski, która się zowie »Wielkim Księstwem Poznańskiem i propozycje organizacji szkolnictwa według potrzeb czasu«. W wstępie zastanawia się autor rozprawy nad powodem upadku wykształcenia i oświaty w Wielkopolsce i przypisuje takowy brakowi nadzoru ze strony państwa. Wprawdzie starała się komisja edukacyjna o podniesienie tego smutnego stanu, a nawet zawarła z biskupem poznańskim Okęckim umowę względem pomnożenia szkół parafialnych — ale niestety zbyt wcześnie przestała istnieć. Pod zaborem pruskim szkolnictwo dla niedostatecznej, a w części wadliwymi środkami posługującej się administracji państwowej, w latach 1793 do 1866 prawidłowo rozwijać się nie mogło. Nadzór nad szkołami oddano landratom, którzy posługując się dzierżawcami królewszczyzn, goniącymi za zyskiem, prawdziwych usług wykształceniu publicznemu wyświadczyć nie byli zdolni. Duchowieństwo odebraniem dóbr zubożałe, utraciło na powadze świeckiej i wpływu odpowiedniego na szkoły wywierać nie mogło, tem więcej, że mu inspekcją nad temiż odebrano. Dopiero z powstaniem W. Ks. Warszawskiego szkolnictwo odżyło. Izba edukacyjna (dawniejsza komisja) oddała inspekcją szkolną duchownym — a staraniami swemi sprawiła, że w obec 140 szkół, jakie zastała w ówczesnem Wielkiem Księstwie Poznańskiem, w pięć lat 494 szkół nowych powstało. Otóż kawałek tylko odsłoniętej prawdy, a całe tomy o tej mniemanej kulturze pruskiej pisano. My ich kultury wcale, a wcale nie pożądamy, bo mamy własną o wiele wieków starszą. Szczęśliwi będziemy, gdy nam jej gwałtem wciskać nie będą — a niech tylko naszej nie tępią przemocą, wobec siły brutalnej, jaką mają obecnie.

---

choconego zabawą i trunkiem tłumu, przybywa nareszcie zapowiedziany „Bachus“. — Tak nazywają wystrojoną lalkę, którą parobcy obnoszą po całej wsi, lecz jak się ona nazywała kiedyś przed wiekami, któż to odgadnąć może? Że obnoszenie tego Bachusa mogło powstać ze zwyczaju pogańskiego, na podobieństwo saturnalji, każdy przyzna, kto ujrzy tę gromadkę włościan obnoszących ustrojonego bałwanka. Zaszczyt towarzyszenia należy się raźnym parobkom, którzy przybierają się stosownie do obchodu. Jest to rzeczywista wiejska maskarada. Najbrzydszy, a zarazem najroślejszy chłop przebiera się za kobietę, dozgonną towarzyszkę Bachusa. Drugi, niski, z głupowatym wyrazem twarzy, trzymając ogromny drąg w ręku, udaje wójta gromady i jemu należy się zaszczyt przemawiania, ile razy tego zachodzi potrzeba. Inny, suchy, z wielką laską, pełni obowiązek skarbnika i zbiera dary, aby za nie później ogólną wyprawić pijatykę. W niektórych poblizkich okolicach przebierają się za cyganów, żydów i murzynów.

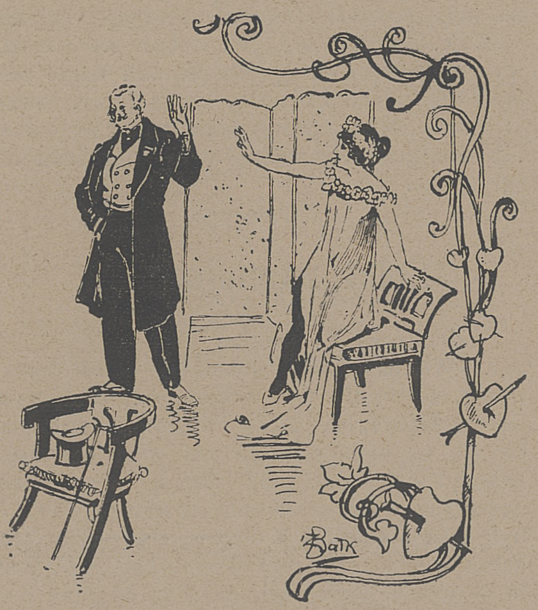
Kobiety z powiązanemi chustkami w rękach, parobcy i gospodarze otaczają niosących Bachusa, a tak cała gromada przeciąga przez wieś, udając się naprzód do dworu. Kiedy przed drzwiami staną, wójt uderza laską po trzykroć, a gospodarz musi wyjść do przybyłych, bo inaczej wedrą się przemocą. Po przywitaniu wójt składa uzbieraną we wtorek daninę i przemawia mniej więcej w te słowa: „Oto, panie ojcze gospodarzu, w twoim domu jest córa (lub syn), co nie bacząc sobie na obowiązek każdego człowieka, przykazany Adamowi i Ewie od Boga, nie weszła jeszcze w małżeństwo. Kończą się dziś długie zapusty, i my więc przychodzimy z Bachusem i zabieramy ci twoją dziewkę, aż się wykupi, kiedy nie chciała w małżeństwo iść. Ale i ty, ojcze gospodarzu, nie zapominaj o Bachusie, tylko go obdarz czem możesz, bo patrz, jaki on biedny, obdarty i głodny“. Dwór przyjmuje daninę, wystawia kilka garncy wódki, lub piwa, a gromadka dalej obchodzi wieś, wstępując do każdej chaty, gdzie wójt powyższą mowę wygłasza, z tą różnicą, iż parobcy wyprowadzają dziewczęta niezamężne i te, co się nie okupią, malują sadzami, jako oblubienice Bachusa. W niektórych okolicach parobcy wykupują dziewki za swoje pieniądze, a te odwdzięczając się przyrządzają im na Wielkanoc serki, jaja, oraz inne podarki. Za zebrane pieniądze wyprawia się w karczmie gwarna ochota, a wszyscy tańczą około Bachusa. W popielcową środę okupywać się muszą wszyscy jadący koło karczem.

Wreszcie nadchodzi noc, Bachus wędruje na spoczynek na strych karczmy, aby za rok znów wędrować po wsi, gwarna, szalona zabawa ucicha, wesołość się kończy... następuje długi post.

Eka.

WESOŁY KURJEREK.

Między małżonkami.



— Daj mi pokój z twoim amatorskim teatrem! Jak chcę, to mogę iść do prawdziwego...

— Ale tam nigdy nie znajdziesz prawdziwej żony!...

— Właśnie dlatego wolę prawdziwy teatr...

Szkoda, żeś nie był krótki...

Płaczcie panny i jejmoście!
Czyńcie głośny jęk i lament,
Karnawał już tonie w poście,
A z nim uciech gwarny zamęt!!

Syty wszelkich głośnych parad,
Poświęcony hucznym balom,
Ojciec zabaw i maskarad,
Odda miejsce gorzkim żalom...

I utonie biedak w czasie,
Ku żalowi starych dzieci,
Zniknie, jak cień na kompasie...
Kiedy słońce już nie świeci...

Jejmość tęga, niby turek...
Roni z oczu gorzkie łezki..
Bo nie będzie wśród troteski
Skakać... dla przyszłości córek..

Nie jednej też pannie łzawej,
Od westchnień się gors wypręża..
Karnawał dał moc zabawy,
Ale ani za grosz męża!

Goły, jak turecki święty....
Kandydacik do odkosza...
Próżno darł frak wynajęty,
Nie wziął panny, ani grosza...

Teraz wśród żalów odmętu,
W którym tonie jego dusza,
Wygolony już do szczętu,
Śpiewa biedak Tadeusza...

Bilans w tak wspaniałej sumie
Serca nadto nie pociesza...
Więc też wzdycha, tak, jak umie
Rozbawionych liczna rzesza...

Płacze kupiec i cukiernik...
Że ucieka ten szarlatan
I nie kapnie grosz za piernik,
Za materję, lub tarlatan...

Winiarz zacny schnie z tęsknicy,
Dusząc w gardle łzy i łkanie...
Ach! on czynił w swej piwnicy
Cud — jak w Galilejskiej Kanie...

Hydropata z niego wielki!
Generacje leczył młode,
Nalewając wciąż w butelki
Farbowaną winem wodę...

Skromny, z swego wynalazku...
Nie przechwalał się przed nikim,
Chociaż kręcił bicze z piasku,
Robiąc z wody Château Yquem.

Słowem — jest powszechny lament —
Płacze cała rzesza gwarna...
Stała się żałoba czarna,
Jako smoła, lub atrament...

Tylko jedni ojce rodzin,
Którzy z werwą, co rozczula,
Całowali wśród tych godzin,
Brody Icka, albo Szmula...

Teraz łez nie ronią wcale...
I rzuciwszy na bok smutki,
Mówią: — Żegnaj karnawale!
Lecz szkoda, żeś... nie był krótki.

Wesoły.

List wiernego ekonoma

do jaśniewielmożnego dziedzica, bawiącego „na kuracji“ we Lwowie.

Jaśnie wielmożny dziedzicu i chlebodawco dobrodzieju, przez urazy duchownej osoby i drukowanego pisma co stoi czarne na białem głowa moja głupia jest na to czyby się na to mówiąc nasz kanonik wielmożny zmówił z kalendarzem czy nie przymierzając kalendarz z wielmożnym kanonikiem bo oba powiadają że post święty tera i ludziom się do kartofli po półkwaterku oleju daje do sagana rzepakowego gdy tymczasowie jaśnie wielmożny dziedzic do tej pory na lwowskich zapustach siedzący więc musi być jeszcze nie z postem jako my tu (kobiety omijając) wedle możności pracujemy szczerze — omijając się rzekło gdyż te cztery dziewki co się ostały są przez urazy uszów na nic a piąta ze stolarzem co trumnę dla starej Jacentowej robił uciekła bo jej się zmarło na kolki — jako my biedne sieroty przez jaśnie wielmożnego dziedzica przy ciepłości wiosny nadchodzącej wytrzymamy bo nawet gnój co go po same krokwie po oborach leży dla trzech par koni zdechnięcia i dwóch kobył do reszty okulawienia na polu nie bywszy — co się pługi i sochy rozcieli a kowal Franciszek choć i majster przez żelaza nie okuje bo Jankiel z Pacanowa opowiadał że jakiś tam stary kredyt umarł ale że ja tego żyda nie znałem że ziarka do siewu mamy tyle co statku w Kaśce jako żadnego słuchu nie ma bo co się od ordynarji zostało to resztę myszy wzieni i zjedli bo dziury wielkie są jako jaśnie panu raportowałem jako przy nadchodzących świętach pełną wędzarnię dymu przysposobić kazałem że się dla zgniłości wiorów gmina cała mało niezapowietrzyła tylko że się gadziny przez urazy w folwarku na lekarstwo nie znajdzie więc może jaśnie dziedziczka jakich szynek ze sobą przywiezie, a temczasowie, jako w litanji wołamy jaśniewielmożny dziedzicu zmiłuj się nad nami i wracaj bo wszyscy z głodu pomrzemy za coby jaśnie pan pewnikiem z zasług potrącił.

Ścielę tu się do jasnych stóp wielmożnego dziedzica, bo ogzekutor od Icka dwa razy przyjeżdżał nic nie zająwszy, bo i nic nie było.

Mateusz Gamajda.

Na te ciężkie czasy...



— Córkę mi wykradł ten warjat i nie wiem teraz, co robić?...

— Mój kochany, na te ciężkie czasy powinieneś Panu Bogu dziękować!... Żeby takich warjatów było więcej, toby nie było tyle starych panien...

Prędka nauka.

Gdy kto chce mieć dobrze w głowie
I to bardzo prędko,
Niech się uczy przez rok cały,
A nie chodzi z wędką!
Lecz Zdziś znalazł prędszy sposób,
Aby dojść do steru
I już czuje dobrze w głowie
Po flaszce porteru! *Iki.*

Iskierki.

Donoszą nam, iż pewien inżynier kolejowy, tak się rozmachał w zapale wywłaszczania, że aż pewnemu spokojnemu obywatelowi chciał wywłaszczyć... żonę.

Ważne doniesienie!

W dniu wczorajszym, do godziny siódmej zrana, jeszcze nikt nikogo nie zarwał.

— Czem się różni lichwiarz chrześcijanin od lichwiarza żyda?

— Wyznaniem — bo obydwaj jednakowy pobierają procent.

Darowana miłość.

z francuskiego

napisał M. Lescoott.

(Ciąg dalszy. Patrz nr. 22).

13-go maja. Mam jeszcze nowe zmartwienie. Dostałam list od mojej najlepszej przyjaciółki, Maryni Roulot. Przyrzekłyśmy sobie do końca życia mówić wzajemnie wszystko, więc ona dotrzymuje teraz słowa. Otóż ona od miesięca dopiero wyszła z klasztoru, a już była na balu, na prawdziwym balu, co się zowie; a ja, która od sześciu miesięcy skończyłam pensję, nie byłam jeszcze na żadnym wieczorku nawet; bo trudno przecie wieczorkiem nazwać partji bostonu cioci Fruzi z księdzem proboszczem, który ma już pewnie sto lat.

Pan Roulot jest pułkownikiem artylerji. Wydał bal, którego Marynia robiła honory. Miała gazową białą suknię z trenem (ach! z trenem); a ja co się musiałam naprosić, żeby mi spuszczono zakładki u tego bronzowego szlafroczka! I stokrótki we włosach. Ona jest bardzo ładna, to też pisze mi, że miała szalone powodzenie. Ani na chwilę nie przestała tańczyć, a w kotylionie dostała mnóstwo orderów: myszkę, słomiany kapelusik, wachlarz, ekranik i bukiet róż. Najwięcej tańczyła z jakimś lejtenantem, którego tajemniczo nazywa wicehrabią. Wydaje się bardzo dumną z tego. Wicehrabia ma jasny wąsik, ciemne oczy i błękitny mundur.

Czekają ją jeszcze inne bale i jakaś walka zabawa, zwana *rally paper.* To po angielsku. *Paper* znaczy papier, a *rally*: połączyć, zebrać.

Jakim sposobem zbieranie papierków może stanowić jakąś przyjemność, tego zgoła nie pojmuję. Marynia mi to wytłómaczy.

Ale co ja jej na to wszystko odpowiem? Już jej opisałam szczegółowo mój pokoj o spłowiałem obiciu i wyblakłych niebieskich draperjach, moje baszty, mój piękny park.. Nie mogę przecie zaczynać na nowo, a niestety! nie mam, ani balów, ani wice-hrabiów, ani nawet papierków do zbierania. Jest pełno wice-hrabiów w sąsiednich zamkach (są pewnie i papierki) i miałam nadzieję, że poskładamy tam wizyty; ale mama oświadczyła, że trzeba zaczekać na konie nasze i ekwipaże, aby wywrzeć pożądany efekt (zawsze ten efekt!). Papa zaś stanowczo wzbrania się odnawiania stajni i zaprzęgu tego roku. Powiada, że mam jeszcze dużo czasu. Biedna ja, chyba suchot z nudów dostanę.

Ograniczymy się tylko do dygnitarzy z miasteczka.

Miła perspektywa.

24-go maja. Papa uprzedził mamę, że będziemy mieli na śniadaniu rejenta, pana Piotra Dubois.

— Radzę ci, moja droga — rzekł do mamy — abyś uważała, co mówisz przed nim o Varsangach. Jest jak wściekły na tym punkcie. Nigdy nie zapomnę, jak się uniósł, kiedy wystąpiłem do niego z twoją niefortunną propozycją.

Co to za jakaś propozycja? Nic nie wiem o tem. Wszyscy w tym domu mają jakieś sekreta przede mną.

Papa przykazał mi, abym była uprzejmą dla gościa. Chce, aby pan Dubois był zadowolonym z naszego przyjęcia, bo powiada, że może mu być bardzo użytecznym w zawiadywaniu majątkiem.

Mnie to wszystko jedno... Jakiś prowincjonalny notarjusz, który w dodatku nazywa się *Piotr!* Ręczę, że stary, łysy, że nosi złote okulary i ma nos czerwony.

25-go maja. Wcale nie stary, nie łysy, nie nosi złotych okularów, a choć nazywa się Piotr, jak stangret i jest notarjuszem — dwa grzechy śmiertelne w moich oczach — ale pominąwszy to, jest zachwycający.

Przedewszystkiem niepospolicie piękny: jasny blondyn, tej ciepłej barwy słonecznej, skąpanej w zdrowem powietrzu wiejskiem; oczy ma błękitne, szczere i wesołe, chwilami przesłaniające się mgłą melancholji. I tak, w chwili, gdy przechodziliśmy do sali jadalnej, posmutniał nagle:

— Niech mi pani wybaczy, że nie mogę opanować mego wzruszenia — rzekł do mamy. — Byłem wychowany w tym zamku; rodzice moi, ubodzy włościanie, zginęli podczas pożaru we wsi. Hrabia i hrabina de Varsange ulitowali się nad sierotą i otoczyli mnie opieką. Zasiadając ponownie do tego stołu, żywo stają mi w pamięci wszystkie ich dobrodziejstwa.

Wypowiedział to wszystko z dziwnie szlachetną prostotą i spokojem, jak toast wzniesiony na cześć nieobecnych. Czułam też, że w sercu mojem rodzi się głęboka sympatja i uznanie dla tego młodzieńca, który tak jawnie i otwarcie wyznawał ubożuchne swoje pochodzenie i dług swojej wdzięczności.

Papa odparł na to dobrodusznie:

— I my też nie wywodzimy się z żadnych panów. Ja, jak mnie pan widzisz, powstałem z własnej pracy. Zacząłem od tego, żem...

Ale mama mu przerwała. Mama nie lubi, kiedy papa się przyznaje, że był prostym robotnikiem wydziału mechanicznego, wzbogaconym przez trafny jakiś wynalazek. Papa jest bardzo dumnym ze swego wynalazku, ale mama to nic a nic.

Dla odwrócenia rozmowy jęła rozpytywać pana Dubois o ludzi, którzy zgłaszali się do zamku, prosząc o robotę. Naraz zawahała się, wymieniając niejaką Ludwikę Jacquot.

— Ta kobieta utrzymuje, że zostawała w usługach hrabiny de Varsange?

Pan Dubois odparł:

— To prawda, pani.

— I hrabina była z niej zadowoloną?

— Najzupełniej.

— To mnie dziwi. Miała ona bowiem, mówiąc do mnie, minę zalęknioną i jakby niepewną siebie. Czy naprawdę możesz mi ją pan polecić? Ale miej się pan na baczności, bo tu chodzi o dozór nad całą bielizną domową. Potrzebuję osoby zaufanej.

— Kiedy tak — rzekł notarjusz — to winienem pani wyznać całą prawdę. Nieszczęśliwa ta istota, odsiedziała niegdyś w więzieniu karę za złodziejstwo. Gdy powróciła do miejsc swoich rodzinnych, nikt nie chciał jej dać żadnej pracy. Byłaby umarła z głodu, gdyby nie hrabina Edyta, która ulitowawszy się nad nią, wpłynęła na jej poprawę i zrobiła z niej uczciwą kobietę. Był to jeden z tych czynów miłosiernych, które dobrodziejka moja spełniała codziennie niemal; to też upewniam panią, iż można bez obawy powierzyć bieliznę biednej Ludwice. Co więcej, błagam panią o ten dowód zaufania. Jest ona biedną, bardzo biedną, co jest dowodem jej uczciwości. W obec brakn zaufania ze strony pani, dawna nieufność ogólna względem niej zbudziłaby się na nowo, pozbawiając ją wszelkiego sposobu uczciwego zarobkowania na życie.

Mama słuchała zdumiona, jakby pan notarjusz mówił był po kochinchińsku. Papa wstrzymywał się zaledwie od wzruszenia ramionami. Gdy pan Dubois wyszedł, oboje jednozgodnie wykrzyknęli, że nigdy ta złodziejka nie przekroczy progu domu. Daremnie wstawiałam się za nią.

Wróciwszy do mego pokoju, wyjęłam sto franków z mego woreczka, aby je posłać panu notarjuszowi dla jego protegowanej.

Długo potem nie mogłam zasnąć. Myślałam o tej świętej hrabinie, która tyle dobrego rozsiewała dokoła siebie i ani trochę nie bałam się, aby mi się pokazała. Chciałabym, aby mnie ona nauczyła tajemnicy swojej dobroci.

26-go maja. Poprosiłam dziś mamy o pozwolenie pójścia do kościoła i otrzymałam je. Ale nie powiedziałam mamie całego mojego zamiaru. Udałam się wprawdzie do kościoła, ale dłuższą drogą, przez wieś, aby spotkać pana Dubois i oddać mu mój skromny datek, bo nie ma sposobu przesłać go w sekrecie przez któregokolwiek ze służących; mama tak ich pilnuje zblizka, że nie mogą zmitrężyć minuty czasu. Mama jest bardzo dobra i bardzo miłosierna, ale nie w ten sposób. Byłabym z pewnością dostała siarczystą burę za to, że trwonię majątek dla darmozjadów. Zresztą i mnie się też podoba mieć moje tajemnice. Dość, że zaopatrzona w mój bilet bankowy poszłam sobie szukać mego notarjusza.

Ale nigdzie, ani śladu jego, choć rozglądałam się po wszystkich ulicach; a nie mogłam przecie iść do jego kancelarji, bo mamie włosy powstałyby na głowie na takie uchybienie konwenansom. Ach! te konwenanse, jak ja ich nie cierpię! Dość, że po godzinie daremnych poszukiwań, czując, że tylko czas tracę, wpadłam na szczęśliwy pomysł odwiedzenia na cmentarzu grobu hrabiny Edyty.

Poznałam go odrazu, nie tylko dla tego, że jest bardzo piękny z tym marmurowym, białym, wysokim krzyżem, który zdaje się w powietrzu wyciągać po nad umarłymi błogosławiące ramiona, ale dla tego, że utrzymywany jest z niezwykle pobożną starannością.

I podczas, kiedy klęczałam z rękoma wspartemi o żelazną kratę, myśląc o tej kobiecie, która spała tam w zimnej ziemi, zarzuconej płaszczem bluszczów i pnących róż białych, wielki smutek schwycił mnie nagle za serce. Pomyślałam sobie, że mąż o niej snadź zapomniał, skoro tak prędko ożenił się z drugą i syn także, kiedy tę ziemię mogilną oddał w obce ręce i takie głębokie ogarnęło mnie współczucie dla niej, że łzy zwolna zaczęły się staczać z moich oczu i zdawało mi się, że jakiś tajemniczy, niepochwytny związek istnieje pomiędzy duchem tej zmarłej, a mną.

Naraz, odgłos czyichś kroków przebudził mnie z zadumy. Dwoje starców, mężczyzna i kobieta, szli ku grobowi niosąc snopy wonnych kwiatów. Tuż za nimi spostrzegłam wysoką postać pana Piotra Dubois. Wydawał się zdziwiony, zastawszy mnie tutaj i pozdrowił mnie takiem dobrem, ach! tak dobrem i wdzięcznem spojrzeniem! Nie wiem, jak papa może twierdzić, że on taki skory do wpadania w złość. Ja tego nie widzę... ani trochę.

Powstałam szybko, a podczas, kiedy starzy słudzy przystrajali kwiatami grób, odciągnęłam pana Dubois trochę na bok i podając mu nie śmiało mój banknot, pro-

siłam go, aby zechciał wręczyć interesującej wdowie, która kradła.

Słuchał mnie widocznie zdziwiony, z takim dobrym, przyjaznym uśmiechem na ustach! Nie wziął jednak do rąk pieniędzy.

— Nie, pani — rzekł. — Nie chcę podjąć się tej misji. Jesteś pani dobrą i szlachetną, pocóż więc szukasz pośrednika pomiędzy tobą, a nędzą? Dla czegóż nie miałabyś, za zezwoleniem matki, iść sama do tej biedaczki i nacieszyć się widokiem jej wdzięczności?

Dla czego.. dla czego... Ci notarjusze nie rozumieją tylu rzeczy! Nie wiedziałam, jak mu to wytłómaczyć, że działałam tutaj bez wiedzy mamy, bo nie chciałam, aby posądził ją o brak serca. Zaplątałam się w mojej odpowiedzi; on też snadź domyślił się powodu mego zakłopotania, bo rzekł z dobrocią:

— Może mama pani będzie zdania, że to za wielka suma dla jednej potrzebującej. Niebrak biedaków u nas; obdarzając zbyt hojnie jednych, wzbudzisz pani zazdrość drugich. Nie wiem, jaką sumę dobrzy rodzice pani przeznaczają na uczynki miłosierne, ale jeżeli pani robisz mi ten zaszczyt, aby zasięgnąć mojej rady, byłbym zdania, że nie należałoby wzniecać wygórowanych nadziei, które z czasem przeistoczyłyby się w wymagania.

Odpowiedziałam na to z pewnym przekąsem, bo jużcić nieprzyjemnie mi było, że moje dobre zamiary spełzły na niczem:

— Te pieniądze są moją własnością i mogę bez wiedzy rodziców użyć ich na wspomożenie tej biednej kobiety, której oni nie chcą dać zajęcia.

— Nie — odparł bardzo poważnie. — Młoda panienka nie może nawet dobrego uczynku spełniać bez wiedzy swojej matki.

I wskazując mi grób hrabiny Edyty, dodał:

— Jeżeli chcesz pani godnie zastąpić zacną kobietę, która była aniołem opiekuńczym tej wioski, otrzymaj pani od mamy pozwolenie odwiedzania biednych. Wraz z jałmużną pieniężną zanieś im jałmużnę dobroci twojej; poznaj ich, ukochaj, bądź im opiekunką i doradczynią zarazem. Złoto niedostatecznem będzie, jeżeli nie dadasz do niego tych słów, które krzepią ducha, podnoszą go i uszlachetniają. Czy przebaczysz mi pani to małe kazanko?

Ja w ogóle przyznaję ze wstydem, nie lubię kazań, zwłaszcza jeżeli są długie. Ale to było krótkie i rzecz dziwna, przypadło mi do przekonania. Postanowiliśmy więc, że stara gospodyni pana Dubois, pani Józefka, towarzyszyć mi będzie do biednych, kiedy tylko otrzymam zezwolenie mamy.

Przeżegnawszy się przed białym grobem, zarzuconym kwiatami, pobiegłam do kościoła, a choć wróciłam do domu trochę późno, mama nie zauważyła tego, bo była bardzo zajęta konserwami. Nie potrzebowałam więc spowiadać się z tego, że spotkałam pana Dubois. Zawsze to mały sekrecik.

27-go maja. Dziś, przy śniadaniu, rozpoczęłam pierwsze kroki zaczepne:

— Drogi papeczko...

Papa podniósł głowę trochę niespokojnie, rozśmiał się i zatkał sobie uszy na znak, że domyśla się znowu jakiejś prośby. Ja ciągnęłam dalej:

— Wiele też pan kasztelan na zamku Varsange myśli przeznaczyć miesięcznie swojej Lorci na jałmużnę dla biednych?

— Cóż to znowu strzeliło ci do głowy? — zawołał papa. — Jałmużny? Ja nie żaden wielki pan, ale wyrobnik własnego majątku. Niech biedni pracują, jak ja pracowałem, a nie będą potrzebowali żebrać.

— Ale ci starzy, papo, ci chorzy, ci co kradli i nie mogą znaleść pracy?

— Masz tobie!... Bzik tego rejenta!... Myślałem, że rozsądniejszy. Otóż nie myślę wcale zachęcać do złodziejstwa i rozpusty. Co się tyczy starców i kalek...

Zatrzymał się i popatrzał na mnie,

— Ty, Lorciu, chciałabyś iść ich odwiedzać.

— Tak, papeczko, za pozwoleniem twojem i mamy. Bo widzisz papo, ja się trochę nudzę w tym pięknym zamku. Ty masz interesa, mama ma gospodarstwo, a ja nie mam nic do roboty. Oddajcie mi więc biednych. Takie stanowisko, jak wasze, nakłada przecie pewne obowiązki względem nich.

Tu niespodziana pomoc przyszła mi ze strony mamy.

— Lola ma rację — rzekła. — Już myślałam o tem.

— Kiedy obie jesteście przeciw mnie, to z góry uznaję się za zwyciężonego — rozśmiał się papa. — Dam ci... poczekaj... no, dam ci dziesięć susów dziennie dla twoich protegowanych. To dosyć?...

— O! papo... żartujesz!

— No, a wieleż ci trzeba, mała rozrzutnico?

Tysiąc franków?

— Tysiąc franków?! Oszalałaś, dziewczyno! Posłuchaj: w zasadzie masz słuszność i to dowodzi dobrego serca. Zresztą, praktyczną rzeczą jest zjednywać sobie przywiązanie ludu; ale nie chcę dopuścić, aby cię próżniacy wyzyskiwali. Dla tego zasięgnę porady pana Piotra Dubois. On nam wskaże kilka ubogich rodzin, które warte są wsparcia, a wtedy pogadamy o subsydjach. No, czyś zadowolona mała?

— To będzie zależało od subsydjum, panie kasztelanie.

28-go maja. Papa jest uszczęśliwiony, bo okazuje się, że pan Dubois jest pierwszorzędnym szachistą. Obiecał przychodzić wieczorami, po skończonych zajęciach na partyjkę. To wprawiło papę w tak dobry humor, że korzystając z tego, wniosłam nieznacznie kwestję subwencji. Ta została roztrzygniętą ku ogólnemu zadowoleniu i zapadło postanowienie, że jutro udam się z panną Józefą na pierwszy objazd chorych.

29-go maja. Nigdy dotąd nie widziałam biednych, chyba pode drzwiami kościoła, grzie blade kobiety siedzą na stopniach, trzymając w ramionach wynędzniałe dzieci. Tu malce mają pyzate, rumiane buzie, ale za to jaki nieład i brud w tych chatach! Nigdy widać nie myją podłóg, nie otwierają okien, nie piorą bielizny. Ściany czarne i jakby je kto sadzami pomazał. Zwróciłam na to uwagę pani Józefy, która skorzystała z tego, aby wygłosić długie kazanie w każdym domu, do którego mnie zaprowadziła. Widziałam, że to kazanie bardzo w niesmak poszło tym, do których było zwrócone, że obrażało miłość własną, a nie przynosiło żadnego skutku. Ztąd wniosłam, że słowa nie mają takiej doniosłości, jaką im przypisuje pan Piotr. Trzeba coś jeszcze więcej, ale co, nie wiem...

Postanowiłam, że pierwsze pieniądze, zaczerpnięte z moich subsydjów, użyte będą na zaprowadzenie wszędzie porządku. Chcę zacząć od chaty jednej biednej staruszki, chorej na jakąś gorączkę. Takie tam powietrze nie do zniesienia, że ledwo nie cofnęłam się od progu. Chora leży na jakimś twardym tapczanie w zagłębieniu muru. Dokoła ścian wszędzie zwięszają się pajęczyny; stosy obierzyn z kartofli leżą w kątach, a dwie dorosłe dziewczyny huśtają się na kulawych krzesłach, z założonemi rękoma. Pani Józefa zburczała je ostro i zawstydziła, ale one widocznie nic sobie z tego nie robiły.

— I bez tego zawiele mamy do roboty — odparły zuchwale.

— Dla zdrowia waszej matki — rzekłam — konieczny jest porządek i zdrowe powietrze. Sądzę więc, że nie będziecie nic miały przeciw temu, że każę moim kosztem oczyścić mieszkanie.

Postanowiłyśmy więc, że ściany i sufit każę wybielić, podłogę umyć starannie, dam pościel i czystą bieliznę dla chorej; jeżeli zaś znajdę na przyszły raz wszystko w porządku, to podaruję każdej z dziewcząt po jednej sukni. Zobaczymy, jak się uda ta pierwsze próba.

Józefa zaprowadziła mnie następnie do wdowy Jacquot; tam zabawiłyśmy długo, bo obie zaczęły rozmawiać o hrabinie Edycie, a ja nie mogłam się dość nasłuchać. Choć umarła ona przed dwudziestu laty, ale wspomnienie jej przetrwało tak żywe, iż obie kobiety, wspominając ją, miały oczy pełne łez.

— Wszystko straciliśmy wraz z nią — mówiły. — Pan Henryk byłby dotąd posiadaczem zamku, gdyby nie to drugie nieszczęście.

— Jakie nieszczęście? — spytałam.

— Powtórne ożenienie pana hrabiego.

— Więc nie lubiłyście hrabiny Flory?

Zawahały się.

— Nie była to zła pani — odparły. — Dawała dużo biednym. Jedną staruszkę o mało nawet nie wyprawiła na tamten świat, tak ją nakarmiła łakociami. Ale pieniądze, to nie wszystko jeszcze, panienko. Jest sposób i sposób...

Ach! żeby mi kto powiedział, jaki był ten sposób hrabiny Edyty?

Takbym chciała, aby mnie kochano w tej wiosce tak, jak ją kochają!

31-go maja. Pan Piotr przyszedł wczoraj wieczorem na partję szachów. Mówił o wczorajszych moich odwiedzinach u biednych i winszował mi tego powodzenia. Powiada, że zyskałam uznanie pani Józefy, co podobno jest rzeczą bardzo trudną.

Chciałam to wszystko opisać Maryni, ale nie wypada jakoś chlubić się ze swoich dobrych uczynków. Zresztą, nie wiem zupełnie, co do niej pisać, bo wątpię, aby ją partje szachów pana Piotra z papą interesowały.

10-go marca. Wczoraj wracałam z panią Józefą od jednej biednej i szłyśmy główną ulicą wioski, kiedy nagle doleciały mnie tony ochrypłego, starego i do niemożliwości rozklekotanego fortepianu, na którym wprawna jakaś ręka wygrywała warjacje z »Lunatyczki«

Znam dobrze te warjacje. O mało mnie one niegdyś o prawdziwą warjację nie przyprawiły. To też zdziwiona biegłością nieznanej pianistki, zapytałam mojej towarzyszki, ktoby to mógł być?

Pani Józefa skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

— To panna Lucyna, córka wdowy Balard, która ma dwie kamienice i magazyn. Nie lepiejby to zrobiła, pomagając matce za kontuarem, niż bębniąc cały dzień na klawiszach? — I tonem zaufania dodała: — To bogata dziewczyna chciałaby się duchem wydać za pana Piotra Dubois. Ale,

jak mówił Baptysta, to nie, dla nas... to nie z naszego świata. Nie dla tego, żem go prawie wychowała, ale mówię panieneczce, że na świecie nie ma drugiego takiego, jak on. Nigdy się nie gniewa, nie zniecierpliwi, choćbym spaliła na nic cały obiad. Mój stary plecie czasem trzy po trzy, a on zawsze słucha go grzecznie, nie przymierzając, jakby jakiego ambasadora. A taki dobry dla biednych, tak się poczciwie zajmuje ich interesami, tak im radzi i dopomaga do zgody! Naprzykład bracia Trudamowie: dwadzieścia lat kłócili się i procesowali o kawał gruntu. Za jego namową uściskali się i teraz żyją w zgodzie, jak Bóg przykazał. A wie panusia, jak go nazywają we wsi? *Boży rejent.*

Staruszka zapalała się, mówiąc o swoim panu. Ach! jak to miło być tak kochanym przez sługi. Nasza służba nas nie lubi, ale za co, też nie wiem.

Wieczorem, podczas kiedy pan Piotr grał z papą, przypatrywałam mu się i pomyślałam, iż istotnie wygląda na bardzo dobrego, z tem otwartem spojrzeniem i szczerym uśmiechem. Nic się nie dziwię pannie Lucynie, że chciałaby wyjść za niego. Ale dla czego on nie chce, kiedy ma piękny posag i gra tak ładnie na fortepianie?

14-go czerwca. Już się nie nudzę. Czytam, szyję, odwiedzam biednych i kazałam już obielić dwie chaty. To taka radość dla mnie przeistaczać te czarne i stęchłe nory na czyste, schludne i wesołe mieszkanka. Staruszek ksiądz proboszcz, siwintki jak gołąbeczek, a święty i łagodny, jak apostoł, przyszedł umyślnie, aby mi podziękować w imieniu swoich parafian. Pan Piotr też pochwala mnie, co dodaje bodźca. Józefka przywiązała się bardzo do mnie. Ma czasem takie naiwne odezwania:

— Ach! panuńciu, jaka szkoda, że panuńcia nie jest Versange!

Prawda, że szkoda, ja sama żałuję. Ale nie ma na to sposobu.

16-go czerwca. Czy tylko na prawdę nie ma żadnego sposobu?

17-go czerwca. Dla czego ja ciągle myślę o tych Varsangach, ciągle mam ich imię na końcu pióra. To może jedna właśnie z tych skrytych myśli, które wypada poddać pod analizę krytycznego rozsądku.

Już wiem!... Otóż dla tego, że mam zamiar prosić o rękę kapitana Henryka de Varsange.

O! bo ja wcale nie taka dziecinna, jak sądzą! Od chwili wyjścia z klasztoru dużo myślałam o małżeństwie; a gdybym nawet nie myślała sama przez się, to papa i mama i mój ojciec chrzestny, jenerał, napędziliby mi tych myśli do głowy.

Czy mam tu wyliczyć cały zastęp tych, którzy raczyli starać się o pozyskanie moich względów? A dla czego? Przecież nie jestem piękną. Patrzę na siebie w zielonem zwierciadle i widzę, że mam nos za krótki, usta za szerokie, cerę za śniadą, tylko oczy... oczy mam doprawdy ładne. Ale nie dla tych oczów, tylu ubiegało się o moją rękę... o, nie! A może dla tego, żem dobra, wykształcona, dowcipna? O! zła nie jestem, to pewna; otrzymałam na pensji pierwszą nagrodę z historji i z jeografji, drugą z arytmetyki, fizyki i historji naturalnej, ale to z pewnością nie ten imponujący bagaż naukowy i literacki tak ich przyciąga. Po prostu to, że jestem jedynaczką, córką bogatego pana Migneta, że mam miljon posagu i nie wiem już tam, ile miljonów w przyszłości. To mi daje prawo być tak wybredną w wyborze.

Strasznie trudny wybór, kiedy serce za nikim nie przemawia, a w dodatku jestem mocno przeświadczoną, że każdy szuka mego posagu, nie zaś mojej małoznaczącej osóbki.

To też nie spieszę się. Póki będą miljony papy, póty znajdą się konkurenci, a nie, to zostanę starą panną... wielka mi rzecz!

— Wybierz miljonera, ale człowieka pracy — mówi praktyczny papa. — Przekonasz się córuchno, jak to miło jest mieć męża z głową, który nie trwoni grosza, ale go przysparza.

— Lolu, radzę ci, weź sobie męża z tytułem — perswaduje ambitna mama. — Jesteś sama przez się bogatą, ale nie jesteś szlachcianką. Tylko małżeństwo dać ci może świetne stanowisko, z którego ludzie, mający szczęście je posiadać, ciągną takie korzyści w świecie. Nie jest przyjemnem całe życie nazywać się panią Mignet. Są błahostki, nad któremi kobieta delikatnego serca cierpi bardzo.

Wreszcie, chrzestny mój ojciec, kochany jenerał, przedstawiając mi niegdyś pułkownika, swego przyjaciela, rzekł do mnie:

— Chcę, aby moja droga chrześniaczka wyszła za człowieka z sercem.

A, bardzo chętnie!.,. i ja też tego tylko chcę, ale gdzież ich szukać, tych ludzi z sercem? Trzeba, aby złożyli jakieś dowody po temu, a ci, co złożyli,.. no, to ci już są starzy.

Jakże tu więc zrobić? Miljonerowie papy nie są, ani hrabiami, ani markizami, markizowie mamy nie są miljonerami, a ludzie serca jenerała nie są, ani jednem, ani drugiem.

Otóż wiem, co zrobię! W dzień mojej pełnoletności spiszę wszytkich moich konkurentów na karteczkach, wrzucę ich do skarbonki, na chybił-trafił wyciągnę jeden numer — i za tego wyjdę.

Do całej tej listy dopisałam, ot, tak sobie, dla żartu, nazwisko człowieka, który mnie nie zna, który nigdy nie pomyślał o mnie: kapitana Henryka de Varsange.

Zrobiłam to dla tego nasamprzód, że lubię ten jego zamek rodzinny i pragnęłabym nosić jego nazwę; oprócz tego... jest jeszcze inna przyczyna. Tak, przyczyna, której nie śmiałabym nikomu wyznać i którą zwierzyć tylko mogę temu dziennikowi, w którym zapisują wszystko.

Otóż, kupując ten zamek, papa, jak się okazuje, zrobił bardzo dobry interes.

Nie ma tygodnia, żeby nie powtarzał, zacierając ręce z radości: „A to mi się świetnie udało! Zyskam na tem ze dwakroć sto tysięcy co najmniej!“

Z początku i ja się cieszyłam, widząc, że drudzy się cieszą, ale od jakiegoś czasu, odkąd mi tak zewsząd zachwalają dobroć i szlachetność wydziedziczonej rodziny, jakiś mnie żal ogarnął... coś w rodzaju wyrzutu sumienia, że papa zrobił taki świetny interes, kupując ten zamek. Bo jeżeli to świetny interes dla nas, to musi być z krzywdą dla nich, dla hrabiego Henryka, który jest najszlachetniejszem sercem, jakie istnieje na świecie. To wygląda na to, jakbyśmy byli ograbili biednego, korzystając z jego nieszczęścia. Wolałabym była, aby papa okazał się hojnym i ten interes mniej świetnie wypadł dla nas.

Z tego wszystkiego wynika, że więcej niż wypada, myślę o kapitanie Varsange i włożę imię jego do skarbonki i zrobię tak, abym je wyciągnęła i napiszę potem do generała Maurycego Migneta:

„Mój ojczulku chrzestny, w ministerjum wojny jest podobno jakieś miejsce, gdzie się zapisują czyny, ruchy, a nawet myśli oficerów. Idź tam zasięgnąć wiadomości, a jeżeli się okaże, iż kapitan Henryk de Varsange jest człowiekizm serca, każ mu się stawić przed twoją dostojną obecność i powiedz mu:

— Kapitanie, mam w świecie chrzestną córkę, która ma nos za krótki, ale oczy duże. Dostała pierwsze nagrody z jeografji, fizyki i historji naturalnej. Posiada miljon posagu i jest zdesperowaną, że ojciec jej zrobił taki dobry interes, kupując pański majątek. Prosi cię więc, abyś, dla sprostowania rachunków, był łaskaw ożenić się z nią.“

Kiedy jest zrujnowany, więc może nie odmówi i tym sposobem wszyscy będą kontenci: mama, jenerał, pan Piotr i Józefka i ja, która nareszcie mieć będę męża i podpisywać się będę na listach całemi literami: *hrabina de Varsange.* Marynia mi się chwali swoim wice-hrabią. Dopieroż to jej zaimponuję moim hrabią! Papa się trochę skrzywi z początku, ale papa zrobi wszystko, co ja chcę. Już ja go znam... oho!...

18-go czerwca. Znowu jeden pretendent... Już od jakiegoś czasu żaden się nie trafiał. Przypisywałam to naszej Tebaidzie... gdzieżby oni też nawet w Tebaidzie dali spokój pannie, która ma miljon posagu!

Ten nowy nazywa się Juljan Pochon. Jest to bardzo bogaty przemysłowiec z okolicy. Papa zwiedzał jego fabryki, znalazł je w doskonałym stanie i wrócił bardzo zadowolony.

— Postępowiec w całem znaczeniu — rzekł. — Jego przędzalnie mogą iść o lepsze z zagranicznemi, gwarantuję ci to, córeczko. Znakomicie pojmuje interes i dzielnie go prowadzi.

Mama wzdycha melancholicznie i szepcze rozpaczona:

— Pochon! Pochon! co za plebejuszowskie nazwisko.

Ja nic nie mówię, nic nie protestuję. Zapisałam pana Pochon na karteczce i wrzuciłam do skarbonki. Znajdzie się tam w dobrem towarzystwie.

Ale papie przyszło do głowy zasięgnąć rady pana Piotra. Ten notarjusz stał się istnym arbitrem spraw naszych rodzinnych. Nic się tu bez niego nie robi, począwszy od kontraktów dzierżawnych papy, a skończywszy na konfiturach mamy.

Z uderzeniem godziny ósmej, papa niespokojnie spogląda ku drzwiom i niecierpliwi się aż do chwili, gdy służący zaanonsuje pana Dubois. Wtedy obaj zasiadają do szachownicy; mama robi robotę przy lampie, ja przyglądam się grającym, rozlewam herbatę i rozmawiamy wszyscy czworo, śmiejąc się, bo pan Piotr jest bardzo wesoł; opowiada nam różne ciekawe historje i podania miejscowego ludu, który wcale nie jest głupim; przeciwnie, posiada wiele poetycznego zmysłu.

Dziś, po skończonej partji, papa, niby od niechcenia, zapytał pana Dubois:

— *A propos*, kochany rejencie, ty co znasz całą okolicę, powiedz mi, co to za jeden ten właściciel przędzalni, Juljan Pochon?

(C. d. n.)

Leon Heszeles
we Lwowie.
Skład i wypożyczalnia fortepianów i pianin, tak nowych, jakoteż i przegranych.
Najtańsze ceny. Spłata może być na raty.
Skład z ulicy Trzeciego Maja 2. z dniem 1. października, znajduje się we własnym domu: ulica Sykstuska 11 „Dom Szopena".
[9-13-6]

Otwarte zostało Sanatorjum
Dom zdrowia
Dra EUGENIUSZA WAJGLA
WE LWOWIE
ulica Hausnera 11.
(116-12-4)

HOTEL METROPOLE

ULICA PIEKARSKA 3.

WYBORNE
PIWO PILZNEŃSKIE
z browaru związkowego.
PIWO WOJNICKIE
z browaru Wgo Zygmunta Jordana,
do nabycia na szkianki, flaszki, syfony i beczki
z odstawą do domów lub na dworzec kolejowy.
Jeneralna Reprezentacja na Galicję
Krzysztof Janowicz
Telefon nr. 410. (72-12-10)

ULICA PIEKARSKA 3.

HOTEL METROPOLE

„Flirt" Najlepsze TUTKI i BIBUŁKI *w książeczkach* „Kraj"
z papieru Sassowskiego
wyrobu S. Niemojowskiego we Lwowie
Wszędzie do nabycia. (83-st.-6)

Fabryka pudełek
i tutek cygaretowych
W. BEŁDOWSKIEGO
„NORIS"
w Krakowie, Poselska l. 20.

Jak ocenić dobroć tutki cygaretowej?

1) Dobra tutka cygaretowa nie sprawia w ustach goryczy, pieczenia w krtani i na języku, suchości i drapania w gardle, wreszcie nie pobudza do kaszlu.

2) W czasie palenia, bibułka nie powinna naciągać tłuszczem i nie czernieć.

3) Spala się równo z tytoniem, zaś **popiół tytoniu** powinien być **jednostajnej barwy popielatej**, a nie pokryty **czarną żywicowatą** warstwą **zwęglonej bibułki.**

4) Nie powinna być zbyt cienką a przezroczystą, tylko przeświecającą w dotknięciu palcami wilgnąć, bo zawiera CELLULOZĘ (drzewo) i glicerynę. Te spalając się, odurzają i wywołują krztuszenie się, pieczenie w ustach, krtani i na języku.

Powyższe próby, oparte na naukowych i ścisłych badaniach chemicznych i fizycznych, oraz na doświadczeniu, wytrzymują Tutki cygaretowe fabryki

„NORIS"

Dla łatwego wyboru tutek polecam:

Tutki „Maïs Numa", „ **„Maïs Albert"**, „ **białe „Noris"** — do tytoni lekkich

Tutki „Maïs Wallis", „ **„Mais de Paris"** — do tytoni średnio mocnych.

Zwracam uwagę na tutki **„Maïs,** gdyż są znakomitej jakości.

Do nabycia w trafikach i handlach
(40—10—7).

BIURO
spedycyjne i komisowe
MORITZ GOTTLIEB
Lwów, ul. Sykstuska l. 8.
(114-8-3)

FABRYKA LIKIERÓW
ZYGFRYDA KREBSA
we Lwowie, ulica Batorego liczba 7.
poleca swój wyrób, szczególnie
S. KREBSA
prawdziwy
STARY SZLACHCIC.
Jest to wódka zdrowotna i pozwala sobie PT. na falsyfikaty tegoż zwracać uwagę.
Wszelkie wysełki, tak we Lwowie, jak na prowincji odwrotną pocztą **franco** się wyseła.
[122-5-3]

EDISON!

Mam niniejszem zaszczyt uwiadomić Szanowną P. T. Publiczność że nabyłem **na własność w drodze kupna**
KAWIARNIĘ
„EDISON".
Korzystając z długoletniej praktyki i działalności mojej w tym zawodzie, postarałem się o usunięcie
niektórych dotychczasowych usterek,
które mogly być powodem niezadowolenia Szan. P. T. Publiczności.
Żywię niepłonną nadzieję, że ta
PIERWSZORZĘDNA KAWIARNIA „EDISON"
wspaniałem urządzeniem lokalu
i skrzętną usługą,
zasłuży sobie na zupełne względy Szanownych P. T. Gości, zwłaszcza, że usilnem staraniem mojem zawsze było i będzie nadal, wszelkie wymagania zadowolnić.
[127-4-2]
Z głębokim szacukiem
LEON ENSEŁ.

Dom handlowo-komisowo spedycyjny
Jana Klimkiewicza
Lwów Akademicka 8.
poleca przeprowadzania w patentowanych wozach uchylających potrzebę opakowania, koleją itp., oraz wszelkie czynności w zakres domu spedycyjnego wchodzące
(115-4-4)

Restauracja,
Piwiarnia okocimska i Handel win
Dawida Dorfmanna
Lwów, Skarbkowska 4.
Kuchnia zdrowa i doskonała, napoje wyborne. Ceny przystępne. Usługa szybka i rzetelna.
[135-3-1)

Hotel Belle-Vue
we Lwowie
ulica Karola Ludwika.
Restauracja i Kawiarnia
urządzone z przepychem.
Wszystkie pisma.
[22-12-7]

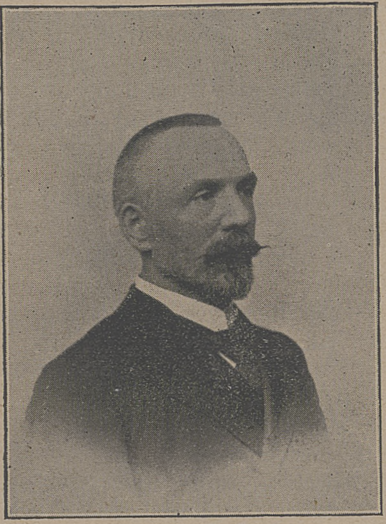
Główny skład wędlin
Zofji Adamowskiej
założony w roku 1871
w Samborze,
poleca wyborne wędliny własnego wyrobu, w każdym dniu świeże do nabycia. Przy składzie znajduje się obszerna i starannie urządzona restauracja z kilkoma pokojami, gdzie można dostać wykwintne zimne przekąski, smaczne gorące potrawy, sporządzane li tylko na świeżem maśle, oraz napoje wszelkiego rodzaju. Wszelkie zamówienia z prowincji, odsela się w dobrem opakowaniu, natychmiast odwrotną pocztą. Usługa staranna i rzetelna. Ceny umiarkowane.
Polecam się nadal łaskawym względom Szanownej p. p.
Zofja Adamowska.
(134-2-1).

Piwo pilzneńskie
z browaru akcyjnego, kuchnia od 15. b. m. zmieniona na lepsze, potrawy smaczne na maśle, ceny zniżone, usługa skrzętna, poleca:
Tomasz Najsarek
restaurator we Lwowie
(131-3-1). w Rynku 17.

Poleca się HOTEL FRANCUSKI przy pl. Marjackim we Lwowie wzorowo urządzony. Pokoje od 80 ct. [94-3-7]

W lot.

= Dr. Ludwik Ćwikliński.



Dawniej mówiono w Polsce, że zamienia się lemiesz na pióro, albo pióro na lemiesz — dziś zamienia się wszystko na politykę. Co prawda ci, co mają coś do zamienienia, nie źle na tej zamianie wychodzą, czy, jednak, społeczeństwo dużo z tego odniesie korzyści, pozwalamy sobie wątpić...

Dr. Ludwik Ćwikliński, widocznie pozazdrościł laurów politycznych dawniejszym swoim kolegom pp. Bilińskiemu, Czerkawskiemu, Pinińskiemu, Roszkowskiemu, Piętakowi i pokrywszy katedrę uniwersytecką kirem, sięgnął po mandat posła do Rady Państwa i już nawet w Kole polskiem zdążył wnieść interpelację o kreowanie jakiegoś gimnazjum. Dotąd, jednak, tylko profesorowie uniwersytetu lwowskiego z zakresu nauk polityczno-prawniczych przerzucali się na teren parlamentarny. — Dr. Ćwikliński zaś jest pierwszym filologiem i na dobitkę autoramentu greckiego, który będąc powagą naukową w tej gałęzi, wiedzy, poszedł na aplikaturę do parlamentu... Że nie zajmie w nim takiego stanowiska, jak w nauce, to pewna i należy raczej przypuścić, że potrzebował pewnego wypoczynku, rozrywki, aby pokrzepiwszy się, raźniej potem pochwycić w objęcia ukochaną filologję i po dłuższem rozstaniu znaleść ją piękniejszą, jak przedtem. Każda żona jest ładniejsza, gdy się do niej wraca po dłuższem niewidzeniu...

W naszej pracy narodowej nie można uważać za objaw dodatni zamieniania katedry profesorskiej na trybunę parlamentarną, tembardziej tak specjalnie naukowej, jak katedra dra Ćwiklińskiego — skoro, jednak, już się tak stało, że uczony filolog uległ pokusie, życzymy mu, aby był takim parlamentarzystą, jak jest filologiem...

= Lwów dla Europy.

W tych dniach, dwadzieścia kilka osób obradowało w lwowskiem Kole lit. artystycznem, nad ochroną praw literackich i artystycznych; Ministerstwo sprawiedliwości zażądało opinji od lwowskiego Koła lit. artystycznego w tym celu, aby się oświadczyło, czy Austrja ma przystąpić do konwencji berneńskiej, stojącej silnie za prawem własności autorów i artystów, czy też nie przystępować do niej. Zebrani większością głosów oświadczyli się za przystąpieniem do konwencji berneńskiej, a więc autorowie galicyjscy mogą być spokojni o swoje arcydzieła, bo już żaden francuz, ani anglik, nie pokusi się o ich tłómaczenie. Dyskusja, dosyć zresztą charakterystyczna, obracała się w ogólnikach i, co prawda, nie będzie miała najmniejszych praktycznych rezultatów. Rosja kradnie wszystko, więc i dorobek umysłowy ludzi łupi gdzie może i jak może, a sama pod tym względem nie lęka się nikogo, bo goły rozboju się nie boi. Drwi ona z całego świata i ze wszystkiego, co ludzie zacni uznają za święte i nietykalne, więc, oczywiście, drwi sobie z konwencji berneńskiej, choćby ona w niebogłosy wołała, że krzywda dzieje się autorom i artystom!.. Nie bez słuszności rozprawiał na ten temat p. Gubrynowicz ze stanowiska księgarskiego, nie bez słuszności również popierał go zawodowy kolega p. Jakubowski — dość zręcznie argumentował ze stanowiska etyki p. Fryling dziennikarz — ale trafił w samo sedno kwestji, p. Wereszczyński prezes Koła, który dowcipnie zauważył, że, co się da wziąść cudzoziemskim autorom dla tłómaczeń polskich, to się weźmie pod zaborom Rosji, bo ta nigdy konwencji berneńskiej nie uzna, my zaś w Galicji do niej powinniśmy przystąpić i wołać, że to nie ładnie tak cywilizację europejską obdzierać!.. No, i jakoś wilk z owcą pozostaną żywe... Poczciwe polskie motylisko frunęło z wagona ładowanego cywilizacją... Europa szparko teraz popędzi dalej, błogosławiąc pruskim hakatystom i moskiewskim rzezańcom, a poczciwy polski motyl będzie fruwał sobie z wozu na wóz, aby ulżyć cywilizowanej Europie...

= Kongres robotniczy.

Pomiędzy rozlicznymi kongresami międzynarodowymi, jakie się odbyć mają podczas tegorocznej wystawy powszechnej w Paryżu, niepoślednie miejsce zająć powinien kongres międzynarodowy, mający zająć się kwestją ochrony interesów robotników.

Wiadomo, że kongresy takie niedawno się odbyły: w r. 1896 w Zurychu i w r. 1897 w Brukselli. Nie zdołały one jednak rozwiązać i wprowadzić na praktyczne tory sprawy nader ważnej — międzynarodowego stałego zjednoczenia, mającego czuwać nad dalszym rozwojem tej kwestji w krajach cywilizowanych.

Usiłowania, podejmowane w tym kierunku przez niemieckich polityków socjalnych, w czem przodujące zajął stanowisko profesor niemiecki Philipowitch, także nie wyszły jeszcze ze studjum prac przygotowawczych.

Czy kongres paryski, który tę międzynarodową organizację weźmie także pod obrady, będzie od swych poprzedników szczęśliwszy, trudno coś przesądzać.

W każdym razie dobrze jest, że się nie zraża dotychczasowem niepowodzeniem.

Program prac kongresu jest następujący:

1) Ustawodawcze ograniczenie czasu pracy. Porównawcze studja nad ustawodawstwem różnych krajów, co do pracy dzieci, młodocianych robotników, kobiet i robotników dorosłych; pożądane reformy i dalszy rozwój tej sprawy; możność równego, ustawą określonego, maksymalnego dnia pracy w głównych państwach przemysłowych.

2) Zakaz pracy nocnej. Skutki nocnej pracy; stan ustawodawstwa; możność absolutnego jej zakresu dla różnych kategoryj robotników i dla różnych gałęzi przemysłu; konieczność porozumienia międzynarodowego.

3) Inspekcja fabryczna. Stadjum jej organizacji w różnych krajach. Korzyści i szkodliwe skutki poszczególnych systematów organizacji; dotychczasowe wyniki; współpracownictwo robotników w służbie nadzorczej, jako delegatów inspektorów pomocniczych; kontrola ze strony stowarzyszeń narodowych.

4) Międzynarodowe zjednoczenie w celu ochrony robotników. Pożyteczność takiego zjednoczenia dla dalszego rozwoju ustawodawstwa; zadanie i organizacja zjednoczenia.

= Nowy hotel Bristol w Warszawie.

Na rysunku elewacji frontowej hot. Bristol widnieje kopuła, zdobiąca narożnik od strony Krakowskiego Przedmieścia i ul. Karowej. Otóż zamiast tej bezużytecznej kopuły, urządzony będzie na szczycie narożnika taras 65 metrów kwadrat. obszaru, okolony ozdobną balustradą i połączony z kawiarnią elektryczną komunikacją windową. Taras ten, przeznaczony jest dla turystów i gości, pragnących przy czarnej kawie napawać się widokiem panoramy Warszawy i przedmieścia Pragi. Drugą nowością, zastosowaną w budowie tego gmachu, będzie urządzenie na dachu, od strony przyszłego teatru, obszernej platformy dla trzepania dywanów. W narożniku na parterze, trzy olbrzymie szyby łukowe, umieszczone między filarami łukowymi u wejścia do kawiarni, spuszczane będą do piwnicy i tylko na noc, lub w porze chłodnej mają być podnoszone. Nad antresolą i na drugiem piętrze w narożniku staną dwa obszerne balkony. Na każdem piętrze będą pokoje poczekalne i sale dla przyjęcia gości, jeżeli zajmujący numer nie chce przyjąć osoby odwiedzającej we własnym lokalu.

= Zjazd rzemieślniczy.

Zapowiedziany zjazd rzemieślniczy, w Petersburgu, jak się dowiadujemy, rozpoczyna się w dniu 27 marca r. b. Jako przedstawiciele rzemiosł warszawskich, na zjazd ten, uda się ośmiu starszych Zgromadzeń cechowych, a także prezydjum sekcji rzemiosł warszawskiego odd. pop. ros. przemysłu i handlu, złożone z prezesa, wice-prezesa i sekretarza sekcji.

Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

Dolli, komedja w 3-ch aktach Henryka Christiersona — tłomaczył M. Sachorowski. Ze szwedzkiego na polską scenę mało mamy przekładów, bo Ibsen i inni autorowie, których kilka dzieł znamy, są norwegczykami i piszą po duńsku, a literatura ich odrzyna się charakterystycznymi rysami od Szwecji, z którą Norwegja unją polityczną jest związana.

Z nazwiskiem p. Christiersona spotykamy się po raz pierwszy i z jego *Dolli* nie można nabrać przekonania, aby to był pisarz oryginalny w pomysłach, a przynajmniej w przeprowadzeniu i w rysowaniu postaci, czy chrakterów. Sama historja tej Dolli, dziewczyny bez rodziców, tułającej się wśród gromadki artystów-malarzy, wyrwanej z tego otoczenia, a potem wracającej do niego, w głównych zarysach znana jest z dawnych sztuk francuskich i niemieckich, a chociaż tło na którem się ta historja rozwija i koloryt pewnej odrębnej obyczajowości, są nieco odmienne od tych, a także widzieliśmy, to snujące się postacie cech indywidualności i oryginalności autorskiej nie posiadają. — *Dolli*, jako dzieło dramatyczne, ponad zwykły poziom literacki nie wybiega, a talent p. Christiersona, jest sobie zwykłym talentem nie wyróżniającym się, choć, niezawodnie.

w swoim rodzinnym kraju pożytecznym i zajmującym w literaturze szwedzkiej jakieś stanowisko.

Względne powodzenie takich sztuk na scenie, prawie wyłącznie zależy od artystów, bo starannością, pomysłowością i subtelnościami gry aktorskiej koloryzują szarzyznę i podnoszą zawsze nieco wyżej dość niski poziom autorskiej twórczości. Tak się stało i z *Dolli* na lwowskiej scenie, na której komedja ta po raz pierwszy w zeszły piątek przedstawioną została. Przedewszystkiem obsada była odpowiednia, a więc sztuce już to wyszło na dobre. Wprawdzie, sama Dolli, tytułowa rola, wymaga talentu aktorskiego, unoszącego na skrzydłach szczerego liryzmu rodzajową naiwność — trzeba, jednak, przyznać, że panna Jankowska gra tę rolę z tem rozczochraniem, które najprzód jest sympatyczne, a powtóre z pewną artystyczną oryginalnością pomyślane i przeprowadzone.

Poza Dolli i poza hrabią Schottendornem, którego p. Fiszer gra z całą indywidualnością swego nieocenionego charakterystyczno - komicznego talentu — niemal wszystkie role są, albo mało wydatne same przez się, albo dość słabo przywiązanymi epizodami. W nieco większych rolach kobiecych, ale zamkniętych przez autora w zrankach bezbarwnej powszedniości, wybijają się artystycznie i subtelnie cieniowaną grą pp. Gostyńska (Nybing), Cichocka (żona Schottendorna) i Ordonówna (Julja, córka Schottendornów). Mniejsze role bardzo starannie grają panna Nałęczówna modelkę i pani Rybicka służącę.

Panowie: Chmieliński, Feldman, Walewski, Kliszewski, Wysocki, Antoniewski, Kwiatkiewicz, Nowacki, Zejdowski — wszystko to malarze, artyści, mimo, że są pod ciągle niemal ołowianem niebem krańcowej północy, pełni temperamentu i z cechami dobrze znanej i oklepanej na scenach cyganerji — każdy pomysłowo, na swój sposób, grą wyrazistą, jeśli to można było wyciągnąć z roli, lub staranną, wytworzyli całość, o co głównie, jeśli nie przeważnie, w *Dolli*, chodzi. Wystawa sztuki bardzo efektowna.

Przygodny.

Kraków.

Ruch muzyczny w czasach ostatnich był bardzo ożywiony. Główne, a raczej pierwsze miejsce zajmuje u nas krakowskie Towarzystwo muzyczne, na którego czele stoi niezmordowany i utalentowany pracownik, p. Wiktor Barabasz. Towarzystwo muzyczne zazrajamiało w szeregu historycznych koncertów, członków swych z najwybitniejszymi kompozytorami i ich dziełami. Podnieść tu także musimy z ostatnich wieczorów muzycznych, koncert, w którym Towarzystwo wykonało wspaniałe dzieło Moniuszki »Sonety krymskie«, i Goldmarka »Wiejskie wesele« symfonią na wielką orkiestrę. Poznaliśmy zarazem na tym samym wieczorze nowego profesora konserwatorjum skrzypka, który koncert G-moll Brucha oraz Boethovena Romanze F-dur, wykonał z towarzyszeniem orkiestry. Pan Karol Wierzuchowski, skrzypek nowo angażowany, jest dobrym nabytkiem dla naszego konserwatorjum. W lutym mieliśmy tu koncert Towarzystwa z współudziałem dzielnego basisty p. Antoniego Sistermansa i pianistki Enssert.

»Lutnia krakowska« urządziła w dniu 6. lutego »Wieczór Szopenowski«, w ktym na samym wstępie wykonała utwór niemca Ryszarda Wagnera. Jak tu połączyć naszego nieśmiertelnego poetę tonów z Wagnerem?...

O »Lutni« obszerniej później napiszemy.

W piątek dnia 23. lutego, dał swój własny koncert p. Karol Skarzyński, profesor wiolinczeli w konserwatorjum krakowskiem. Ukończywszy z odznaczeniem konserwatorja w Warszawie i Lipsku, dał się poznać, jako dzielny solista i zdolny kompozytor. Współudział w tym koncercie wzięła pani Czop-Umlauf, wysoce u nas ceniona pianistka.

Ostatnią premierą w teatrze, była komedja Kurlweis'a p. t. *Bogaty wujaszek*. Uznając dotychczasową działalność nowej dyrekcji teatru miejskiego, stawiamy tylko życzenia, by nas uwolnił p. Kotarbiński od sztuk takich, jak np. *Sonata* Kisielewskiego i tym podobnych utworów fantazji dziwacznej i chorobliwej wyobraźni.

Zarzucają niektórzy krytycy granie fars na scenie poważnej. Przyznajemy się otwarcie, iż wolimy od czasu do czasu rzeczy lekkiej muzy, jak dziwolągi symboliczno-dekadenckie. Nie chcemy widzieć na naszej scenie, »nagich dusz«, ani innych sztuk narwanych, lub wstrętnych etycznie... pragniemy zdrowego pokarmu dla miłośników sceny narodowej.

Maurycy Sieber.

Z Berlina. (*Premjery berlińskie*).

Coraz częściej w prasie berlińskiej pojawiają się skargi, że poziom teatrów niemieckich stale się obniża. Ludzie i kierunki, których wystąpienie witano tak radośnie przed dziesięciu laty, okazują dziwne jakieś zmęczenie i wyczerpanie. Rzekłbyś, że t. zw. dramat młodoniemiecki, przeżył się w ciągu jednego dziesięciolecia. Daremnie rozglądamy się na scenach berlińskich za sztuką jędrną, o głębszej wartości, a przytem odpowiadającą warunkom scenicznym. Residenz theater i Lessingtheater, o ile nie przedstawiają oryginalnych płytkich komedyj, importują z zagranicy komedje pieprzone, jak »La Dame de chez Maxim«, lub »Lord Quex«. „Neues Theater« żyje niemieckiemi farsami, o naiwności przekraczającej wszelkie wyobrażenie. Toż samo czyni królewski Schauspielhaus. Ostatnia nowość jego, »Das Bärenfell« Kadelburga, przypomina czasy Kotzebuego i Benedixa. Podczas gdy bogaty, schorzały wuj wyjeżdża do Włoch, przyszli spadkobiercy jego, ufni w rychłą śmierć »złotego wujaszka«, trwonią majątek jego. Lecz wuj wraca nadspodziewanie, zdrów na ciele i umyśle i co gorsza, przywozi z sobą starą przyjaciółkę, z którą się żeni. »Nie dziel skóry niedźwiedziej, póki jej nie masz.« W Berliner Theater znowu tryumfuje kierunek pisemek illustrowanych: »Złota klatka« Feliksa Philippi, to jakby udramatyzowany romans z »Gartenlanbe«. Brat jednego z drobnych książąt niemieckich, żeni się z mieszczanką pełną urody i cnót. Jeżeli dodam, że ojciec panienki jest fabrykantem i zarazem srogim demokratą, panujący książę zaś konserwatystą z przekonania, zrozumiecie wzruszenie, które ogarnia dobrodusznych widzów przy końcu sztuki.

Najsmutniejsze jednak zjawisko na polu teatru niemieckiego, to widoczny upadek, dziwne obniżenie kierunku pierwszej dotychczas sceny bierlińskiej »Deutsche Theater«. Słusznie zarzucano dyroktorowi Brahmowi w ostatnich już latach, że otoczył teatr swój chińskim murem, otwierając go wyłącznie kilku autorom, których wydała niegdyś »Freie Bühne«. Jednak Deutsches Theatr zasługiwał zawsze na miano pierwszej, przodującej sceny literackiej, gdyż Hauptmann, Sudermann, Halbe, Fulda, dostarczali mu, w każdym sezonie utworów, jeśli nie o wyższej wartości, to zawsze o wyższych aspiracjach. Ze zdumieniem śledziła krytyka i publiczność reperatuar Brahma w tym sezonie. Dawał on jedną płytką komedję po drugiej. Były to sztuki godne takiego „Thalia Theater“, lub innej sceny, żyjącej farsami. Lecz kredyt ustalony przez lat dziesięć niemal, nie nadweręża się tak rychło. Publiczność wyborowa ciągle jeszcze zapełnia co wieczora salę, a krytyka czekała z ufnością »właściwych« nowości Brahma. Wszak na początek lutego zapowiedzianą była sztuka Hauptmanna!

Jakiemże było rozczarowanie publiczności berlińskiej, kiedy przed kilku dniami dyrektor Brahm oświadczył jednemu z interviewerów, że lekkie komedje, które dawał dotychczas, nie były bynajmniej »zapchejdziurami«, lecz wyrazem nowego kierunku, który nadać zamyśla teatrowi swemu. Zdaniem Brahma, nowy ruch dramatyczny wydał już powyższy, realistyczny dramat, a zarazem poetyczną fantazję sceniczną w postaci bajek dramatycznych. Obecnie nadszedł czas nowoczesnej, realistycznej komedji. Pogląd swój popiera Brahm opinją Hauptmanna, któremu komedje wystawione w »Deutsches Theater«, jak np. »Der Vielgeprüfte« Meyer-Förstera, bardzo się miały podobać.

Oświadczenie to wywołało istną konsternację w kołach literackich. Nie łudzono się, ani na chwilę przypuszczeniem, iżby horoskop literacki p. Brahma, który był krytykiem, zanim został dyrektorym, przedstawiał istotnie jego przekonania. Zrozumiano, że formuła literacka sfabrykowaną była ad hoc, by pokryć zwrot ku najpospolitszej polityce kasowej. Brahm zauważył, że sztuki poważne nawet w »Deutsches Theater« mniej znajdują widzów, niż komedje; poszedł tedy drogą pewnego zarobku.

Nowy program literacki Brahma służyć też miał jako wstęp do nowej sztuki Hauptmanna, która rozczarowała najgorętszych nawet wielbicieli poety. Dopiero po przedstawieniu długo oczekiwanej tej nowości zrozumiano w pełni, dlaczego Brahm nagle tak gorąco zapłonął dla fars. »Schuck i Jan«, nowy utwór głośnego autora, to banalna farsa, osnuta na przestarzałym, zużytym motywie, przytem pozująca na komedję szekspirowską.

Książe wracający z polowania w licznem towarzystwie, spotyka przed zamkiem dwóch włóczęgów spitych i śpiących. Domyślacie się już, znając Szekspira, Calderona i Fredrę, że na rozkaz księcia, wnoszą sennego Jana do zamku, przebierają w stroje złociste, a obudziwszy go, wmawiają mu, że jest królem. Potrzebaby istotnie fantazji nadzwyczajnej i niepospolitego humoru, by z sytuacji tej wytworzyć nowe efekta. Na domiar, w dwóch teatrach berlińskich grywają obecnie sztuki, osnute na tymże samym pomyśle: w Schauspielhaus »Schlaraffenland« Fuldy, a w Metropoltheater »Die verkehrte Welt«. Lecz Hauptmann nie zadał sobie wcale trudu, by ten żart sceniczny okrasić poezją, lub dowcipem. W szeregu scen po części grubiańskich, po części o nudnej długości, okazuje on nam żarłoczność i opilstwo włóczęgi na tronie. Dworzanie, posłuszni skinieniu jego, bawią się snać lepiej, niż publiczność, inaczej bowiem wcześniej by ten żart przerwali. Wreszcie przebrawszy Schlucka za kobietę, przedstawiają go Janowi, jako małżonkę jego. Jan wpada we wściekłść, a książę, obawiając się dalszych jego wybryków, podaje mu napój usypiający. Uśpionego Jana wynoszą napowród pod drzewo, zkąd obudziwszy się, udaje się z Schluckiem wprost do karczmy.

Słaba ta rzecz, pozbawiona wszelkiej wyższej myśli przewodniej i tendencji satyrycznej, wlecze się przez całych pięć aktów — w czytaniu książkowem nawet przez sześć — i pisana jest po części wierszem. Lecz okoliczność ta nie daje komedji Hauptmanna bynajmniej charakteru szekspirowskiego. Rzecz ta nie nabiera też oryginalności przez to, że autor nazwał ją »Spiel zu Scherz und Schimpf in fünf Unterbrechungen«.

Jedynie, co Hauptmanna usprawiedliwia, to okoliczność, że jak sam oświadczył, »Schluck i Jan« stanowi tylko wypoczynek w poważniej-

szej pracy, intermezzo między dwoma głębszymi dramatami: »Das Hirtenlied« i »Wieland der Schmidt«. Miejmy nadzieję, że sztuki te okażą Hauptmanna znowu w pełni talentu, bo że jest to poeta prawdziwy, tego dowodzi nawet w »Schluck i Jan« trafna charakterystyka włóczęgów i niektóre obrazy poetyczne.

— Otrzymujemy, z prośbą o umieszczenie odezwę następującą:

»**Konkurs**. Wydawnictwo »Kraj w obrazach« prosi nas o zamieszczenie następującego zawiadomienia:

»Przystępując do wydawnictwa »Galicja w obrazach«, pragnęlibyśmy uzyskać możliwie doskonały wzór na afisz reklamowy i w tym celu odwołujemy się do wszystkich p. p. artystów malarzy z prośbą o nadsełanie projektów takich afiszy, nie krępując się, ani ilością kolorów, ani formatem, ani motywem, niczem wogóle, prócz zamieszczeniem wyrazów: »Galicja w obrazach«. Termin ostateczny d. 1 maja 1900 roku. Nagrody trzy:

Pierwsza 75 rubli (200 koron).
Druga 25 rubli 70 koron)
Trzecia 15 rubli (40 koron).

Rozstrzygnięcie konkursu powierzonem będzie uproszonym sędziom z grona artystów i znawców sztuki. Oryginały, zaopatrzone znakiem, lub mottem (powtórzonem na kopercie), należy nadsełać pod adresami:

Redakcja i administracja wydawnictwa »Kraj w obrazach«, Łódź, ul. Zachodnia l. 41, albo Kraków, ul. św. Jana l. 3.

Z poważaniem

K. Woźniak«.

Huster-Lossen. Wykład chirurgji szczegółowej. Przekład z VII wydania niemieckiego. Zeszyt 8. Przekład Przypkowskiego i Korzyniowskiego. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. dr. Józefa Mianowskiego. Warszawa 1900.

Upominek. Książka do czytania z licznymi obrazkami. Ułożył Bronisław Borowski, Łódź, 1900. Z książeczek przeznaczonych dla dzieci, jako przyjemne i pouczające czytanie, książka ta bez wątpienia jedno z pierwszych zajmuje miejsce. Polecamy je chętnie wszystkim, dbającym o dobry pokarm dla młodego pokolenia.

Przegląd polityczny.

Mijają właśnie cztery tygodnie od chwili zebrania się w Wiedniu konferencyj czesko-niemieckiich; narady prowadził dr. Körber sposobem indukcyjnym, na zasadzie którego sprawy o zakresie szerokim, sprawy najważniejsze, usuwane bywają na plan ostatni. Jakkolwiek zachowanie się strony pokrzywdzonej, t. j czechów, jest jak najbardziej pojednawcze — co i sami niemcy przyznają — niema prawie żadnej nadziei, aby niemcy zechcieli się zgodzić na przyznanie językowi czeskiemu takiego zakresu, jak tego wymaga słuszność i sprawiedliwość. Dr. Körber miał dać zlekka delegatom czeskim do zrozumienia, że rząd w zasadzie nosi się z myślą zaprowadzenia w sprawach językowych takiego stanu rzeczy, jaki był w krajach czeskich przed 17 października. Czy to się stanie istotnie, nie wiadomo. Tajemnicze, a nawet dwuznaczne zachowanie się przedstawicieli rządu na konferencjach, nie wróży im dobrego końca; może bowiem przyjść do zagmatwania jeszcze większego, niż było przed zebraniem się w Wiedniu czeskich i niemieckich posłów.

Na konferencjach mówiono wiele o podziale okręgów sądowych na czeskie, niemieckie i mieszane. Tych ostatnich jest 16, a właściwie tylko 14; w nich miałyby obowiązywać oba krajowe języki, skoro do drugiego przyzna się najmniej 25 proc. danej ludności.

Nowy namiestnik morawski, hr. Karol ordynat Zerotin, jest potomkiem starego rodu czeskiego. Urodził się w r. 1850, jako szóste dziecię rodziny; kończył gimnazjum w Ołomuńcu, nauki prawnicze w Wiedniu. Urzędował przy starostwach na Morawie; długi czas był komisarzem w Przerowie. W r. 1891 wielką własność morawska wybrała go do Rady państwa, gdzie należał do dzikich. Podczas ostatnich wyborów w r. 1897 nie przyjął mandatu. W sejmie morawskim należał do centrum, które się więcej przechyliło na stronę niemiecką. Jest on właścicielem fideikomisu, oraz dóbr bludowskich. Był prezesem komisji ugodowej w sejmie morawskim. Od r. 1897 jest żonaty z bar. Zdeńką.

O stosunku nowego rządu, a w szczególności ministra oświaty, dra Hartla, do katolików, nie bardzo korzystnie świadczy następujący fakt, który opisuje berneński „Hlas“. Dla upamiętnienia jubileuszu cesarskiego, fundował ks. biskup królogrodzki, mons. Jan Brytych, w miejscowości Chrastie, katolicką szkołę mieszczańską dla dziewcząt. Dyrekcja szkoły uczyniła zadosyć wszystkim, prawnie wymaganym przepisom i inspektor poparł prośbę dyrekcji o udzielenie szkole prawa publiczności; tymczasem niemiecko-liberalny minister Hartel odmówił prawa publiczności szkole katolicko-czeskiej, fundowanej przez biskupa, dla uczczenia jubileuszu cesarskiego.

Rzadką zgodnością odznaczała się w Pradze uroczystość jubileuszowa b. ministra Prażaka. Sędziwy mąż polityczny dożył w zdrowiu 80 lat, a siwizną przyprószona głowa do dziś zachowała całą trzeźwość umysłu tak, jak serce jego zawsze odczuwa potrzeby kraju. Wszystkie stronnictwa jednoczyły się w hołdzie dla weterana politycznego. Dr. Alojzy Prażak, c. k. radca tajny, był ministrem czeskim w gabinecie hr. Taaffego. Od chwili ustąpienia Prażaka, teka ministra czeskiego była nieobsadzona aż do chwili obecnej, kiedy ją zajął dr. Rezek.

Głosy publiczne.

Z Przeworska. Ponieważ w kilku dziennikach krajowych pojawiły się zdania niekorzystne dla cukrowni w Przeworsku, a mianowicie uwagi, jakoby rarząd cukrowni wywoził fundusze krajowe za granicę, zarząd podpisany pragnie przedstawić rzecz cyfrowo, nie wdając się wcale w polemikę, lub zbijanie poczynionych zarzutów.

Cukrownia w Przeworsku wypłaciła w kampanji bieżącej, tj. od 1. września 1899 do 10. lutego 1900.

Za buraki cukrowe	koron	1,320.000 —
Dywidendy	„	351.000 —
Robocizny (najmu)	„	232.215·87
Pensji urzędnikom i dozorc.	„	59.195·02
Razem	koron	1,962.410·89

Plantatorzy zapłacili ludności miejscowej:

Za obrobienie 5000 morgów buraków, licząc tylko po koron 50 od morga	koron	250.000·—
Za dostawę buraków kołami wprost do cukrowni od 200.000 q po 24 hal.	koron	48.000.—
Za dostawę buraków do rozmaitych stacyj kolejowych od 250.000 q po 24 hal.	koron	50.000·—
Za dostawę wytłoków z cukrowni od 120.000 q po 16 hal.	koron	19.200·—
Razem	koron	367.200·—

Przy obliczeniu wypłat za dostawę przyjęto, że tylko połowa dostawionych buraków była dowieziona najętymi zaprzęgami. Drugą połowę zaś dostawili plantatorzy własnymi końmi. Zestawiając powyższe cyfry, okazuje się, że wydatki cukrowni w ostatnich 7 miesiącach wprost wypłacone, wonosiły koron 1,962.410.89

Przez producentów zaś, za ten sam czas wypłacona została ludności okolicznej kwota koron 367.200·—

Wobec tych cyfr, pensje pobierane przez urzędników i dozorców czechów, mieszczące się w wyżej podanej cyfrze koron 59.195·02 są bardzo znaczne.

Dyrektorem technicznym jest czech, dyrektorem administracyjnym jest polak. Między personalem technicznym jest większość czechów, dla tego, bo na początek przynajmniej zarząd uważał za konieczne mieć urzędników i dozorców pierwszorzędnych kwalifikacji, a obeznanych z cukrownictwem austrjackiem. Wszyscy urzędnicy zajęci przy administracji i buchalterji są polakami. Na dowód, że zarząd stara się, o ile możności, popierać krajowe fabryki przedsiębiorców i rzemieślników, niech posłuży fakt, że przy budowie rafinerji przy cukrowni przeworskiej, postawionej w latach 1898 i 1899, która kosztowała 2.000.000 koron, zamówił zarząd tylko urządzenia maszynowe za granicą, ponieważ nie ma u nas fabryk, wyrabiających maszyny dla cukrowni i rafinerji, a trzeba było się postarać o maszyny pierwszorzędnej jakości. Budynki stawiali przedsiębiorcy polscy Meissner i Dmaczko z Przemyśla, używając znów naszych murarzy, cieśli, stolarzy, kowali i t. d. Okna żelazne dostarczyła fabryka akcyjna w Sanoku. Kotłów, z wyjątkiem jednego, dostarczyła firma „Cegielski“ w Poznaniu.

Fabryka cała wraz z zapasami, zabezpieczona jest kontraktem kilkoletnim w specjalnem towarzystwie asekuracyjnem cukrowni austro-węgierskich, ponieważ swego czasu Towarzystwo wzajemn. ubezpieczeń w Krakowie, ubezpieczenia cukrowni odmówiło, jako przedmiotu za wysokiej wartości.

Cukier wyrabiany w rafinerji przeworskiej nie ustępuje w jakości niczem wyrobom zagranicznym, czego najlepszym dowodem, że cały cukier przeworski rozchodzi się w Galicji.

Czy warto popierać cukrownię w Przeworsku?

Czy dla kraju lepiejby było, gdyby ona nie istniała?

Mamy nadzieją, że łaskawy czytelnik po przeczytaniu powyższych cyfr już sam sobie sąd o tem wyrobił.

Zarząd Gal. akc. tow. przemysłu cukrowniczego w Przeworsku.

W. Czartoryski. *L. Wiśniowski.*

Ciekawe, pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Zarmordowano w XIX wieku 3 cesarzy, 2 sułtanów, 3 książąt, 8 prezydentów i 1 cesarzowę. W r. 1801 padł ofiarą spisku Paweł I, car rosyjski, który był życzliwym dla polaków. W Meksyku rozstrzelano Maksymililjana, brata cesarza Józefa Franciszka. W r. 1881 zamordowali nihiliści w Petersburgu cara Aleksandra II. W r. 1894 zginął Sadi Carnot, prezydent rzeczypospolitej francuskiej, zabity przez anarchistę Caserio, a w r. 1898 zamordowali anarchiści Elżbietę, cesarzowę austrjacką. Można ztąd poznać, że los panujących nie jest tak szczęśliwym, jak się na pozór wydaje.

Krzak fiołkowy. Jeżeli rośliny fiołkowej nie dopuszcza się przez szereg lat do kwitnięcia, ale wciąż obrywa się starannie listki i pędy, wtedy fiołek dostaje pień, który dochodzi do 20 centymetrów i ma kształt palmy. Piękny to widok, gdy na wiosnę takie drzewko okryje się bujnem kwieciem.

Odpowiedzi od Red. i Adm.

W. w Krakowie. Odpowiemy listownie.
C. K. w D. Zużytkujemy.
Bomba. Niezdatne.
Kopciuszek. Prosimy przysłać.
Ni. Ka. Myśl jest, ale forma fatalna.
Kadłub. Nie.
N. N. N. w Chicago. Pomnik Sobieskiego we Lwowie jest dłuta Barącza.
Cymbalistka. I na cymbałach można grać ładnie, ale pani nie umie.
Z. w Paryżu. Prosimy bardzo.
Autorom wierszy: „Łódka“, „Woda na młyn“, „Trzy liście“ i „Drużba“ — utwory panów drukowane nie będą.
Panna Marja F. we Lwowie. Przekładu Jakóba Normanda p. t. „Ofiara sportu“ drukować nie będziemy. Rękopis do odebrania w redakcji.

Nadesłane.

HOTEL IMPERIAL we Lwowie, w najpiękniejszej części miasta, na ulicy Trzeciego Maja. Urządzony z **prawdziwym europejskim komfortem, a mimo to ceny przystępne.** Od apartamentów, do pojedyńczych pokoi. Obsługa wzorowa i rzetelna. W hotelu znajduje się restauracja i kawiarnia. Czystość, porządek, akuratność i umiarkowane ceny. [20-12-6]

Zwraca się bliższą uwagę na ogłoszenie *Domu Zdrowia* (Sanatorjum) dra Eugenjusza Wajgla.

Bliższych szczegółów dla interesowanych udziela zarząd *Domu Zdrowia* we Lwowie, na ulicy Hausnera 11, gdzie stale mieszka właściciel i naczelny lekarz Instytutu. [121-10-4].

Czy trzeba uważać na reklamę?

Praktyczna pani domu, która zawsze dba o to, żeby dać swoim co najlepsze, a przytem nic nie zmarnować, stawia sobie często powyższe pytanie, na które łatwiej jest odpowiedzieć, niż zastosować go w praktyce. Trzeba umieć tylko odróżnić. Gdy np. pod warunkiem są proponowane przedmioty, które rzeczywiście od normalnych się różnią, to powie każdy: Nikt nie może czarować, a więc, rzecz ta nie może być dobra. Inaczej się dzieje przy poleceniu jakiejś nowości; tu należy doświadczyć. Najłatwiejszą jest sprawa, gdy reklama zachęca do wypróbowania. Zawód jest tu wykluczony, gdyż każdy może się sam przekonać. Weźmy np. pod uwagę reklamę »Quäker Oats«. Dla samego wyrobu »Quäker Oats«, musiano utworzyć miljonowe przestrzenie, a to stanie się naturalnie tylko wtedy, gdy wartość wytworu nie ulega wątpliwości, szczególniej przy tak prostym produkcie natury, który może oddziaływać tylko za pomocą swej dobroci i bez najmniejszego oszustwa. Celem też reklamy nie jest sprzedawanie próbnych pakietów Quäker Oatsu, które kosztują tylko 9 ct.; daleko więcej poświęca się olbrzymich kosztów dla reklamy, aby je wszędzie dać poznać, gdyż jest rzeczą pewną, że przeważna ich liczba, dostarcza stałych konsumentów. Konieczną jest jednak taka reklama, bo produkty tego rodzaju mogą być wyrabiane tylko w wielkich ilościach i przez to ludność wszystkich krajów jest przymuszona z nimi się zaznajomić. Każdy, kto dba o swój interes, musi zauważyć taką reklamę. Z tego przykładu widzimy, że każdy na to pytanie, tak trudne z pozoru, z łatwością sam sobie może odpowiedzieć. (70—5—1).

Z Tarnobrzegu.

Podróżując po Galicji zawadziłem o Dzików i Chmielów koło Tarnobrzegu i zwiedziłem tamtejszy browar, własność p. hr. Zdzisława Tarnowskiego. Po bliższem poznajomieniu dowiedziałem się, że browar jest pod kierownictwem słynnego piwowara p. *Pawła Dworskiego*, który wyrabia tam cztery gatunki piwa, a mianowicie: Bok, Eksport, marcowe i leżak. Wypiwszy kilka bomb tego znakomitego piwa, przypomniało mi ono smakiem dawniejsze lwowskie z browaru pp. Kleinów na Pohulance, wyjaśniono mi też, że p. Paweł Dworski pracował, jako zdolny piwowar przez kilkanaście lat u p.p. Kleinów we Lwowie.

Wyjeżdżając z Dzikowa i Chmielowa, uniosłem niezatarte wspomnienie o tak wybornym wyrobie piwa, pod kierownictwem p. Pawła Dworskiego, znakomitego i zdolnego piwowara.
[132-4-1] *Herbaciński.*

Doszło do naszej wiadomości, że powszechnie znany i utalentowany rzeźbiarz i organmistrz **p. St. Janik**, zamieszkały w Krośnie, zbudował w następujących miejscowościazh ołtarze i organy: w Dydnie trzy ołtarze w stylu gotyckim, także ambonę i organy; w Sękowej ołtarze, ambonę i organy; w Krośnie, w kościele Franciszkańskim, trzy ołtarze w stylu rzymskim, ambonę w stylu gotyckim, konfesjonały, chór i organy; w Odrzykoniu dwa ołtarze gotyckie; w Krośnie, w kościele Kapucynów pięć ołtarzy w stylu barokko, konfesjonały i organy; w Iwoniczu wspaniałe organy zostały wykończone w roku 1867. (7412-2-2).

Zwraca się uwagę na ogłoszenie **Fabryki wódek S. KREBSA we Lwowie.** [123-3-3]

Za Komitet redakcyjny i wydawniczy: Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **M. Dzikowski-Chamski.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.